

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 24 IX 1972 Nr 20 (505)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

Żenić się po raz siódmy

Maciej Podgórski

Rodziciele i pedagogowie nie za bardzo chętnie pozwalają swą dorastającą czy nawet dorosłą latorośl do tego zespołu. Bo tam się ćwiczy i gra — rzecz wprost niesłychana — w obcisłych trykotach. W obcisłych. A ćwiczy się trzy razy w tygodniu po cztery godziny, przed spektaklem zaś bywa, że i codziennie „do oporu”. Więc sporo czasu się marnotrawi, zupełnie nie wiadomo na co. Brewerie jakiejś. Do tego szef przedsięwzięcia — Jerzy Leszczyński — włos ma ponoć długi jak muszkieter, i zdarza mu się rozmaite wyrazy wymawiać na próbach po kilka razy. Zgorzzenie jakby.

Nie jest natomiast Leszczyński autorem fraszek, które — opatrzone tym samym imieniem i nazwiskiem — bywają drukowane na tych łamach, co wyjaśniam, bo mnie o to prosił, nie zawistny cudzej sławie. Nie jest też Leszczyński kierownikiem zespołu pieśni i tańca UMCS, ponieważ nie jest silnym brunetem, lecz szczupłym blondynem, i imię się nie zgadza. Leszczyński kieruje istniejącym przy lubelskim WDK studium wizji i ruchu, a właściwie Studium Wizji i Ruchu, bo to nazwa oficjalna, i niebawem się okaże, o co tu mniej więcej idzie.

Redakcja nie wysłała mnie do Reykjavíku na mecz: Spasski — Fischer, nie wysłała na Olimpiadę do Monachium, ani nawet na Festiwal Piosenek do Sopotu, postanowiłem

przełożyć znaleźć jakiś temat w Lublinie, aczkolwiek Leszczyński w sierpniu z wybraną trójką członków swego zespołu wyjechał na Węgry krzawić tam pantomimę, tak jak on ją rozumie. Zdążyłem z nimi porozmawiać przed wyjazdem.

Ta trójka to aktualnie czołówka 30-osobowego zespołu. Anna-Maria, Elżbieta i Ryszard. Są młodzi, 18-letni. Dziewczyny uczą się w liceum dla pracujących, chłopak w liceum dziennym.

„Jeszcze w szkole podstawowej należałem do sekcji akrobatycznej, tutaj już więcej utanczylam swój ruch, no i pracuję nad kondycją.

Dokończenie na str. 6—7

Ze Świdnika do Chile i Peru



To zdjęcie zostało wykonane, jak wskazuje tablica, na wysokości 4 843 m. O polskiej wyprawie do Chile i Peru, o tym, jak spisywały się motocykle ze świdnickiej WSK piszemy na stronie 4.

Fot. A. Stec

Zanotowane nad Tamizą (3)

Odejście hippiesów

Mirosław Derecki

JESZCZE dwa lata temu wydawało się, że ruch hippiesów tak bardzo popularny wśród pewnych kół młodzieży zachodniej, nie przetrwa i skończy. Rok wcześniej wyruszyła ze Stanów Zjednoczonych na podbój Europy „hippiesowska krucjata” i istotnie zaczęła odnosić szybkie zwycięstwa, przede wszystkim w Wielkiej Brytanii, Holandii i NRF. Szczególnie w Wielkiej Brytanii hippiesi trafili na odpowiedni grunt.

W szczytowym okresie zainteresowania ruchem Wielka Brytania przeżyła chociażby takie, szeroko komentowane w prasie „wstrząsy”, jak festiwal na wyspie Wight z udziałem bożyszcza hippiesów — Boba Dylana, czy też wypadki uliczne związane z działalnością tzw. „komuny ulic miasta Londynu”, „komuny ulic miasta Londynu”, kiedy to hippiesi zaczęli zajmować pustą budynek mieszkalny w centrum stolicy.

Nieco później świat został wstrząśnięty procesem „rodziny Mansona”; w skali angielskiej niemal halasu narobił proces wytoczony wydawcom hippiesowskiego pisma „OZ”, którzy zostali oskarżeni o demoralizowanie młodzieży szkolnej. Proces ten tak wzburzył brytyjską opinię publiczną, że jego książkowa rela-

cja, opatrzona nawiasem mówiąc rysunkami Feliksa Topolskiego, rozszalała się bardzo szybko.

Trudno stwierdzić, czy tylko owe skandale zaważyły na spadku popularności ruchu hippiesowskiego, czy też nastąpiła dość typowa dla młodzieży reakcja szybkiej zmiany zainteresowań. Tym łatwiej mogła ona nastąpić, że przecież duża część młodzieży przyswoiła sobie tylko bardzo zewnętrzne cechy tego ruchu, przejawiające się m. in. w stroju i ogólnym wyglądzie zewnętrzny. To właśnie dzięki tej młodzieży całe dzielnice niektórych stolic, a wśród nich i Londynu, nabierały specyficznego kolorytu.

W roku 1972 te same londyńskie dzielnice wyglądały już zupełnie inaczej. Na Picadilly Circus nie widać barwnego obozowiska hippiesów. Na ich miejsce pod fontanną z „Erosem” powrócili zwyczajni turyści z aparatami fotograficznymi i kamerami filmowymi. Jeżeli wśród tłumu przewinie się od czasu do czasu postać w długiej wachodniej szacie, to jest to zazwyczaj autentyczny mieszkaniec Wschodu w swoim narodowym stroju, a nie — przebrany młody Anglik. Niewielu też hippiesów widzi się w tradycyjnie przez nich okupowanych okolicach Notting Hill Gate; znikli na-

wet niemal zupełnie ze „swojej” ulicy — Portobello Road... Czy oznacza to, że odeszli? Chyba odchodzą, a w każdym razie nie są już w „awangardzie”.

Oczywiście, główne bastiony ruchu jeszcze się bronią i nieprędko zrezygnują z walki. Mimo skandalu i skazyjących wyroków w procesie wychodzi, niezbyt co prawda regularnie, czasopismo „OZ”, wydawany jest nadal „International Times” i szereg innych pomniejszych periodyków, których redakcje po starciu rezydują przy Portobello Road, ale nie są to już czasy dawnej świetności. Inne pisma, jak na przykład „Time Out”, coraz bardziej się komercjalizują, skutecznie zresztą rywalizując z takimi cotygodniowymi informatorami londyńskimi jak „What's on?” czy „Where to go?”.

Podobnie rzecz ma się ze sklepami, które w czasie szczytowego zainteresowania ruchem powstawały prawie z dnia na dzień, oferując — po dość zresztą wygórowanych cenach — wszystko, co było niezbędne hippiesom: wachodnie, kolorowe, bogato haftowane stroje, hinduskie ozdoby, orientalne pachnidła. Dzisiaj sklepy te są nadal zawałone przeryzowymi tunikami z Bengalu, haf-

Dokończenie na str. 4

NADER lekkomyślnym zarozumiałcem wolno chyba nazwać tego, kto, przeczytawszy „Wyzwolenie” bodaj kilkakrotnie, śmiałyby twierdzić, że zrozumiał w nim wszystko. Co do mnie, wyznaję z pokorą: czytając ostatnio to dzieło Wyspiańskiego na nowo (nie w dzisiejszym, pretensjonalnym wyrazu znaczeniu, lecz w sensie dosłownym), przedzie-

od wszystkich wątpliwości, pozwolę sobie jednak poddać pod rozwagę czytelnika parę wniosków, do których mnie owe refleksje doprowadziły.

Za punkt wyjścia posłużył mi spopularyzowany przez biografów Wyspiańskiego fakt, że „Wyzwolenie” powstało, jak to się mówi — na zamówienie społeczne. Wiadomo, iż lepsza część współczesnej poezii inteligencji krakowskiej widziała w

Wróżę sukces

Maria Bechcycz-Rudnicka

rałam się przez treści poszczególnych scen dość mozolnie, acz znana mi była większość komentarzy, jakimi one obrosły w ciągu lat siedemdziesięciu. I może zadziałało tu podświadome pragnienie wyzbycia się kompleksu Minderwertigkeit doznawanego wobec rzeszy komentatorów, że zaczęłam szukać obiektywnych przyczyn niejasności pewnych passusów, która zadawała memu utrudzonemu umysłowi wręcz nieodstępną mękę.

Nie ośmielałam się sugerować, jakoby me rozważania tak nakierunkowane przyniosły mi uwolnienie

nim „czwartego wieszca”, co znalazło wyraz w efektywnym geście wróżenia mu po premierze „Wesela” plakietki z symbolem 44.

Ciężka to była rola dla artysty, który powie: „Sztuka mię czarów sicią wiąże”. Ale są misje nie do odrzucenia, choćby pociągały za sobą niepokój i rosterkę. Oto jak wyglądała sytuacja: „Wesele” przyniosło już celną, ostrą krytykę afer, których wpływy ścierały się w procesie kształtowania opinii publicz-

Dokończenie na str. 8

KULTURA 1972

Literatura

W Wydawnictwie Morskim ukazała się publikacja Józefa Miłobędzkiego wzbogacająca literaturę poświęconą Józefowi Conradowi. Książka, zatytułowana „Conrad w żeglarskiej kureści”, stanowi pierwszą próbę odpowiedzi na pytanie, jakim marynarzem był znakomity pisarz. Materiał zawarty na kartach książki rzuca jednak wiele nowego światła na jego osobowość i postawę wobec życia. Opinia fachowca (J. Miłobędzki jest kapitanem Żegludki Wielkiej) o czysto marynarskich kwalifikacjach Conrada jest nader pochlebna. Nie mniej trudno by uznać Conrada za idealnego dowódcę statku, zwłaszcza ówczesnej doby, głównie z uwagi na brak zainteresowań i zdolności kupieckich. Był on przede wszystkim znakomitym nawigatorem.

Dla badaczy życia i twórczości Fiodora Dostojewskiego fundamentalne znaczenie mają ogólnie znane, wydane w latach 1923-25 „Wspomnienia” jego żony Anny oraz jej „Dziennik”. Okazało się jednak, że Dostojewka rozsyłała jedynie część stenogramu swego dziennika z myślą o jego publikacji. Druga część, której nie chciała ogłaszać, zawierająca notatki z okresu pobytu Dostojewskiego w Genewie, przez wiele lat spoczywała w zbiorach archiwalnych. Dopiero w latach pięćdziesiątych do pracy nad rękopisem przystąpiła leninogradska stenografka C. Poznańska. Ostatnio w czasopiśmie naukowym „Literaturnoje nasledstwo” (tom 88) ukazała się nieznana część „Dziennika” Dostojewskiej. Najkrócej mówiąc — jest to pamiętnik młodej metalarki zakochanej w swym niefortunnym, a tak jednocześnie pełnym ludzkich słabości mężu.

Stywny „Kubuś Puchatek” A. A. Milna tłumaczony na dwadzieścia języków, został również przetłumaczony na łacinę! Nie jest tych łacińskich egzemplarzy — nie wiadomo, ale podobno bardzo niewiele. Przekładu dokonał niemiecki mieszkaniec São Paulo, Węgieł z pochodzenia.

Film i telewizja

„Kronika Jednego lata” — taki tytuł nosić będzie nowy film reż. Julii Solowcew, oparty na scenariuszu W. Nikitkinej. Będzie to opowieść o wielkim nauczycielu, wychowawcy młodego polonia radiotelegrafistów — budowniczym komunizmu.

Reżyserzy A. Ałow i W. Naumow nakręcą w „Mosfilmie” film wg. powieści „Dyl Sowietzrał” Chariesa de Costera.

Angielski admirał Horace Nelson (1758-1805) był już bohaterem kilku filmów, nakręconych w różnych krajach. Obecnie powstaje jego kolejna biograficzna ekranowa postać w Anglii, oparta na sztuce Terence Rattigana. Główną rolę gra Peter Finch, występuje także Peter O'Toole, Anthony Quayle i Margarette Leighton.

Ingmar Bergman po ukończeniu prac nad filmem „Szept i krzyk” pracuje nad swym kolejnym utworem. Tym razem bohaterem utworu Bergmana będzie kłown Pepe Andreu.

Muslim Magomajew występuje w nakręcanym w wytwórni „Azerbajdzan-film” filmie muzycznym „Znam twoje imię”. Autorem scenariusza jest M. Ibrahimow, reżyserem A. Babajew, a operatorem R. Ismajlow.

Franco Zeffirelli, wybitny reżyser teatralny i autor świetnych ekranizacji szekspirowskich sztuk „Romeo i Julia” oraz „Poskromienie złośnicy”, filmuje w najbliższym czasie komedię mistrza ze Stradfordu „Wiele hałasu o nic”, którą inscenizował już w londyńskim „National Theatre”.

Francuski reżyser Guy Cavagnac pracuje w Wiedniu nad filmem biograficznym poświęconym W. A. Mozartowi. Twórcza pragnie skoncentrować się na ostatnich 3 latach życia wielkiego kompozytora.

W realizacji znajduje się kilkanaście telewizyjnych seriali fabularnych. Niektóre z nich oglądać będziemy na małym ekranie jeszcze w tym roku. Dominuje tematyka współczesna, powstają też przynajmniej serie kostiumowe oraz ekranizacje znanych powieści. I tak 13 godzinnych kolorowych odcinków historycznej ekranizacji powieści Władysława Reymonta „Chłopi”. „Wielka miłość Balzaka” — taki tytuł nosi będzie polsko-francuska seria o osiatkach 18 lat życia wielkiego pisarza (w roli tej występuje Pierre Meyrand oraz o dziejach jego romanse z Ewelina z Rzewuskich Hańska, którą gra Beata Tyszkiewicz. Stanisława Mikulskiego i popularną czeską aktorkę Kviecie Fialova obejrzymy w serialu współczesnym (14 półgodzinnych odcinków) o tematyce sensacyjnej, pt. „Luk teży”, nakręconym w koprodukcji z telewizją czeskosłowacką. Akcja utworu rozgrywa się w górach na granicy PRL i CSRS, a S. Mikulski gra tu rolę raptownika GOPR. Trzy godzinne odcinki obejmować będzie seria „Mikolaj Koperuk”. W roli tytułowej występuje Andrzej Kopczyński. W stadium zdjęciowego znajdują się również „Janosik”, złożony z 13 godzinnych odcinków. Role Janosika gra Marek Pezeczko. Reżyser Jerzy Antezak przystępuje do zdjęć 15-odcinkowego cyklu, opartego na „Nocach i dniach” Marii Dąbrowskiej, z Jadwigą Barańska i Jerzym Bińczykiem w głównych rolach.

Teatr

Państwowy Teatr Lalek „Banialuka” w Bielsku-Białym od lat prowadzi ogólną współpracę z rumuńskimi teatrami. Na zaproszenie „Banialuki” gościli w Polsce rumuńscy reżyserzy i scenografowie oraz teatry lalkowe z Timisoiary i Braiła. Kierownik artystyczny „Banialuki”, Jerzy Zitman, przebywał w Rumunii, gdzie zapoznał się z działalnością tamtejszych teatrów lalkowych. We wrześniu „Banialuka” wyjeżdża do Rumunii, gdzie weźmie udział w międzynarodowym Festiwalu Teatrów Lalek w Pinerze, organizowanym w miejscowości Sibiu.

Pracownicy zapowiadają się rozpoznający się sezon teatralny dla Giesli May, berlińskiej śpiewaczki i aktor.

ki, szczególnie doskonałej odrobocznymi rolami Berolda Brechta. Z duża satysfakcją — mówi artystka — przygotowuję dla TV audycje pt. „Liryki miłosne” Brechta, w której wystąpię razem z Wolfram Kaiserem. Rownocześnie Gisela May przygotowuje się do następnego tournée po USA. Znacząca część programu zamierza wykonać po angielsku.

Muzyka

Najlepiej strojenie instrumentów muzycznych i ich konserwacja stanowią trudną sztukę. Brak specjalistów w tej dziedzinie odczuwa się dotkliwie. W hrabstwie Nottinghamshire w Anglii w Technikum w Newark rozpoczął się we wrześniu specjalny kurs — dla „techników muzycznych”. Kurs trwać ma 2 lata i polegać będzie m. in. na nauce strojenia, specjalnych metod konserwacji fortepianów, naciągania strun na instrumenty smykowe i regeneracji strun.

W Kopenhadze zakończył się XI Kongres Międzynarodowego Towarzystwa Muzykologicznego, zrzeszającego 42 kraje, m. in. Polskę. Uczestnicząca w obradach 8-osobowa polska delegacja przedstawiła kilka referatów, a prof. dr Zofia Lisie wybrano po raz trzeci do dyktoria Międzynarodowego Towarzystwa Muzykologicznego, a także powołano do komisji międzynarodowych nagród naukowych.

Plastyka

Obraz Picassa „Śniadanie na trawie” osiągnął na aukcji w brazylijskim mieście São Paulo zawrotną sumę 66 tysięcy dolarów. Zakupił go pradny zachowawca i kolekcjoner brazylijski przemysłowiec, oferując na wstępie aukcji tak wysoką cenę, że zanim się ktośkolwiek zorientował stał się właścicielem dzieła.

Malarz i ekscentryk Salvador Dali oferuje wszystkie posiadane przez siebie dzieła sztuki państwu. Tak przynajmniej stwierdził madrycki dziennik „Ya”. Dali miał oświadczyć: „Wszystko, co jest własnością moją i mojej żony, Gali, przekazane zostanie państwu. Myślę, że powinienem to zrobić już teraz. Jest bowiem właściwy moment. Mam nie tylko swoje dzieła, ale również prace takich artystów, jak Giorgio di Chirico i Pablo Picasso”. Zbiory Salvadora znalazł się mając w specjalnym muzeum jego imienia, wznoszonym blisko Figueras, miasta na Costa Brava, w którym ujrzał światło dzienne. Muzeum to — jak twierdzi Dali — gotowe ma być w roku 1973.

Archeologia

Bulgaria przygotowuje się już do obchodów 1300-lecia powstania w r. 681 pierwszego państwa bułgarskiego. W ramach tych przygotowań trwają badania archeologiczne na terenie trzech dawnych stolic bułgarskich: Pliski i Preslawia (środk i pierwszego państwa — od r. 681 do r. 1018) oraz Wielkiego Tyrnowa (stolicy drugiego państwa — od r. 1185 do r. 1393).

W Pliscie zostały odkryte ruiny pałacu o marmurowych schodach i ślady starożytnej bazyliki z jedną absydą, ukryte pod późniejszą świątynią. W Preslawie archeolodzy odkopali ruiny zamku, klasztorów, zabudowań na rynkach, odsłaniając m. in. na murach ponad dwieście rysunków, przedstawiających sceny bojowe i myśliwskie.

Archeolodzy z Instytutu Historii Akademii Nauk Łotwy zakończyli prowadzoną w ciągu kilku lat eksplorację osady z późniejszego neolitu, której relikty odkryto na brzegu jeziora Burtinajka.

Różne

Zbliżające się obchody 50-lecia ZSRR stana się okazją przyjazdu do Polski wielu wybitnych zespołów z Kraju Rad. Początek nowego sezonu artystycznego zapowiada się jako prawdziwy festiwal radiotelegrafistów na naszych estradach. Stoteletni melomani usłyszą w programie „Warszawskiej Jesieni” dwa świetne zespoły: orkiestrę kameralną radia i tv z Moskwy oraz kwartet im. Prokofiewa. We wrześniu przyjeżdża do Polski zespół pieśni i tańca z Gruzji, a w październiku — zespół ludowy z Uzbekistanu, republiki, której ciekawy i bogaty folklor ma być spopularyzowany w naszym kraju. Radiotelegrafistów wybierają się też na odbywające się u nas w okresie jesienno-festiwalu: np. na festiwal muzyczny rosyjskiej i radzieckiej w Ładku-Zdroju przyjeżdża popularna orkiestra Olga Lundstremu. Kolejną atrakcją dla naszej publiczności będzie 2-miesięczna wizyta w Polsce doskonałego baletu na lodzie z Leningradu. Występy tego zespołu trwać będą od listopada do stycznia.

W miejscowości Confolens (departament Charente) zakończył się piętnasty międzynarodowy festiwal zespołów folklorystycznych. Polskę reprezentował zespół pieśni i tańca „Opole” pod kierownictwem Tadeusza Burki i Adama Bobnickiego. Występy zespołu na wolnym powietrzu zgromadziły przeszło pięć tysięcy widzów. Sala, w której odbyło się przedstawienie, nie mogła pomieścić wszystkich chętnych. Przedstawienie przekształciło się w manifestację przyjaźni polsko-francuskiej. Po finałowym numerze, w którym członkowie zespołu wchodzi na scenę ze sztandarami polskim i francuskim, zgromadzona publiczność zgłosiła polskiemu artystom długotrwałą owację. Tournée po Francji zakończył również lubelski zespół pieśni i tańca pod kierownictwem Wandy Kaniorowej. O sukcesie tego zespołu najlepiej świadczy fakt staczenia go do ekipy dwuosu artystów europejskich, którzy udali się do Japonii na światowy festiwal folklorystyczny.

To zdumiewające, jak niewiele ludzi pamięta jak on wyglądał... To słowa wygłosił znakomity aktor Sir Alec Guinness, grający rolę futsbrera w angielskim filmie pt. „Ostatnie 19 dni Hitlera”. Gdy robitłymi próbnymi zdjęciami w Hyde Parku — mówi Guinness — ucharakteryzowany byłam na Hitlera niemal idealnie i nikt się za mna nie obchodził. Tylko jeden taksówkarz wpatrywał się we mnie uporczywie. Gdy wysiadłem, okrzykił dom przed którym kazałem się zatrzymać i wrócił do mnie. Podszedł i spytał: Pan jest aktorem, prawda? Zapewniłem go, że tak. Wtedy — uspokojony — odjechał.

Przed wizytą Edwarda Gierka w Paryżu

Na zachód od Renu

SEKRETARZ KC PZPR, Edward Gierek, gościć będzie (2-6 października bra) we Francji. Nasza współpraca z tym krajem bardzo rozwinęła się w ostatnim czasie. Zawarliśmy m. in. kontrakt z fabryką Berliet na produkcję nowoczesnych autobusów w Polsce. My z kolei wybudujemy we Francji wielkie zbiorniki paliw płynnych. Wznowiony układ o wymianie kulturalnej przewiduje w obu naszych krajach bogaty program imprez. Lepsze poznanie się wzajemnie służyć będzie wspólnej sprawie.

Prezydent Georges Pompidou wypowiedział się za najrychlejzym zwłaniem konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy w Europie. Zapewne w czasie pobytu Edwarda Gierka w Paryżu i ten problem zajmie pewne miejsce w rozmowach.

W związku z zapowiedzianą wizytą publikujemy także informacje dotyczące spraw ustrojowych i socjalnych kraju, z którym łączą nas wieloletkowe więzi sympatii i przyjaźni. Sądzimy, że pewne fakty są mało znane.



Prezydent Francji Georges Pompidou

Konstytucja obecna weszła w życie 4 października 1958 r. po referendum wrześniowym. Za nową Konstytucją wypowiedziało się 79,5 proc. wyborców.

Władza wykonawcza we Francji należy do Prezydenta Republiki i Rządu kierowanego przez Premiera.

Prezydent Republiki jest — od referendum, które odbyło się 25 października 1962 r. — wybierany w głosowaniu powszechnym i bezpośrednim. Jego mandat trwa siedem lat.

Georges Pompidou został wybrany na to stanowisko 25 października 1969 r.

Prezydent mianuje Premiera i na jego propozycję innych członków rządu. Przewodniczący obradom Rady Ministrów, podpisuje rozporządzenia i dekrety uchwalone przez Radę Ministrów oraz ogłasza ustawy.

Rząd jest odpowiedzialny przed Zgromadzeniem Narodowym, ale może być obalony tylko w wyniku uchwalenia przez bezwzględnie większość deputowanych wniosku o votum nieufności podpisanego przez co najmniej 1/10 członków Zgromadzenia.

Władza ustawodawcza należy do Parlamentu składającego się z Zgromadzenia Narodowego i Senatu.

Zgromadzenie Narodowe jest wybierane w głosowaniu powszechnym i bezpośrednim na okres pięciu lat przez obywateli obojga płci, którzy ukończyli 21 lat. Składa się z 481 deputowanych, z których 465 jest wybieranych w Metropoli, 10 — w departamentach zamorskich i 6 — w terytoriach zamorskich. Senatorowie są wybierani na okres dziewięciu lat w głosowaniu pośrednim przez deputowanych, radców generalnych i delegatów rad miejskich i gminnych. Co trzy lata odnawia się 1/3 składu Senatu.

Administracja. Pod względem administracyjnym Francja jest podzielona na 99 departamentów, z których cztery to departamenty zamorskie. Oprócz tego jest sześć terytoriów zamorskich. Władza centralna reprezentuje w każdym departamencie prefekt o dość szerokim zakresie kompetencji. Jest on przedstawicielem wszystkich ministerstw i zapewnia na terenie departamentu realizację ich polityki. Jest odpowiedzialny za utrzymanie porządku publicznego i ma pewne uprawnienia w dziedzinie policyjnej i obronnej. Prefekt wykonuje także na obszarze swego departamentu uchwały i decyzje tzw. Rady Generalnej. Jest to ciało samorządowe, wybierane w każdym departamencie w głosowaniu powszechnym i kierujące wszystkimi sprawami departamentu. Członkowie Rady Generalnej są wybierani na lat sześć, każdy z nich reprezentuje jeden z kantonów departamentu. Cała Francja liczy około 3 200 kantonów.

PISZE te słowa w niedzielę, 10 września. I zdaje sobie sprawę, że zanim trafią one do Czytelników zdarzyć się może wiele na naszej niespokojnej planecie. Trudno jednak nie zareagować na tragiczne wydarzenia, do jakich doszło w czasie monarchijskiej Olimpiady. Bandycki napad ekstremistów arabskich z organizacji Czarny Wrzesień, który pochlagnął za sobą tyle ofiar śmiertelnych, budzić musi najgłębsze oburzenie. Napad ten jeszcze bardziej skomplikował sytuację na Bliskim Wschodzie i w konsekwencji zaskoczył samym Palestyńczykom. Był on na rękę tym siłom w Izraelu, które chciałyby utrzymać stan niepewności. W wyniku terrorystycznych napałów izraelskich na Liban i Syrię zginęło już 66 osób cywilnych, w tym kobiety i dzieci.

Rzut granatem

Przez wiele godzin wazyły się losy samej Olimpiady. Ostatecznie przeważył pogląd, że należy ją wznowić, że grupa zbrodniarzy nie może straszyć milionów miłośników sportu, nie może przetrwać szlachetnej rywalizacji. Ale strażnicy w wiosce olimpijskiej i na lotnisku uanoeczniły, że w dzisiejszym burzliwym świecie huk polskich potrafi zagłuszyć dźwięk fanfar.

Olimpiada w Monachium przechodzi do historii. Jest to nie tylko historia sportu wyrażająca się w nowych rekordach ozdoblonych złotymi medalami. Jest to również historia ludzkiego dramatu. I są to również znaki zapytania, jeszcze

mocniej nakreślone nad dniami, które nadchodzą.

W starożytnej Grecji odkładano na czas Olimpiady oręż. W czasach współczesnych unowocześniono broń nie miłknie. Nie tylko w Monachium. Ale w Monachium zabrzmią ona najmocniej. I adbiła się najszerszym echem.

Człowiek biegnie coraz szybciej. Kulę jednak nie dozna.

Na ostatniej Olimpiadzie doszło niespodziewanie nowa konkurencja. Najbardziej mordercza: rzut granatem. Chciałoby się ufać, że po raz pierwszy i ostatni.

Marek Adam Jaworski

Przekłady K. A. Jaworskiego

Z poezji francuskiej

Gérard de Nerval (1809–1855)

Epitafium

Zył wesolo, na przemian to jak ptak, co lato,
Kolejno zakochany, beztrocki i tkliwy,
To znówu jak Klitander smutny, nieszczęśliwy,
Pewnego dnia usłyszał: ktoś do drzwi kołata.

To była Śmierć! Poprosił ją, by zaczęła,
By dopisać w sonecie jeszcze kropkę zdążył,
A potem się spokojnie jak trzeba położył
Do skrzyni, w której z zimna jęło drzeć mu ciało.

Był leniwy, wieść nieświe, co się nieraz zdarza,
Atrament mu wysychał często w kalamarzu,
Chciał poznać wszystko w świecie, nie znalazł się na niczym.

I kiedy przyszła chwila, gdy zmęczony życiem
W pewien wieczór zimowy miał z świata odchodzić,
Rzucił jeszcze pytanie: „Po com się urodziłem?”

Charles Cros (1842–1888)

Wędzony śledź

Był wielki biały — mur, mur, mur,
Przy nim drabina w górę — szła, szła, szła,
A na ziemi wędzony — śledź, śledź, śledź.

Ktoś idzie, w brudnych rękach trzyma — młot, młot, młot,
I duży ostry — gwóźdź, gwóźdź, gwóźdź,
I grubych nici — zwój, zwój, zwój.

Wspina się po drabinie — wzwij, wzwij, wzwij
I wbiła ostry — gwóźdź, gwóźdź, gwóźdź
U góry, gdzie się kończy — mur, mur, mur.

I rzuca młot, co pada w dół, w dół, w dół,
Przywiązuje do gwóźdźka długą — nici, nici, nici,
Na której końcu wisi — śledź, śledź, śledź.

I schodzi po drabinie — w dół, w dół, w dół,
Zabiera ją i ciężki — młot, młot, młot
I gdzieś odchodzi — w dal, w dal, w dal.

I odtąd ten wędzony — śledź, śledź, śledź
Na końcu nitki zwisa — w dół, w dół, w dół
Kołyszac się powoli — wciąż, wciąż, wciąż.

Ułożyłem tę prostą — pieśń, pieśń, pieśń,
Aby waśniaków wprawić — w gniew, w gniew, w gniew
I by dzieci się mogły — śmiać, śmiać, śmiać.

Paul Verlaine (1844–1896)

Śpiewa Gaspard Hauser

Ja przyszedłem, bezdomny sierota,
W ciche oczy swe jedyną zbrojny,
Do mieszkańców miast łśniących od złota:
Nie sądzili, abym był zbyt zdolny.

Lat dwadzieścia — serca niepokaje,
Którym oprzeć się nie byłem władny,
Spotykałem pięknych dziewcząt roje:
Nie sądzili, abym był zbyt ładny.

Choć ojczyzny nie miałem ni króla,
Choć nie byłem nazbyt w bitwie śmiały,
Chciałem, aby mnie dosięgła kula:
Śmierć wzgardziła jednak moim ciałem.

Czy-m żyć późno, czy wcześniej zaczynał?
O co mam się na tym świecie starać?
O, wy wszyscy, wielka moja wina:
Za biednego módlcie się Gasparda.

Charles Fuster (1866–1929)

Nie mów

Nie mów nikomu, żeś szczęśliwy:
Szczęście to tylko ptak płochliwy,
Umyka przedko chybkiem lotem.
Nie mów nikomu, żeś szczęśliwy,
Nawet po cichu nie mów o tem.

Nie mów nikomu, że jest źle ci.
Jak ptak, co zrywa się i leci,
Boleść się lęka lada zszmeru.
Nie mów nikomu, że jest źle ci —
Niech w sercu twoim trwa ból szczerzy.

Nie mów nikomu o miłości:
Ten ptak dzień jeden tylko gości,
Króciutko śpiewa skryty w cieniu.
Nie mów nikomu o miłości,
Wstydliwie milcz o swym marzeniu.

Louis Lefebvre (1871–1947)

Trochę więcej miłości

Trochę więcej miłości, choć troszeczkę więcej:
Nie trzeba więcej wiedzy. Ni grzeczności pełnej.
Trochę więcej miłości dla duszy zmęczonej
Wszystkim, co ją zachwyca, co swym kłamstwem dręczy.

Trochę więcej miłości i więcej niczego.
Jutro już inne chwile — kojąca nadleca,
Będą słowa, zabawy, grzeczności też nieco,
Dziś mej duszy niech cisza ze spokojem strzeżę.

Trochę więcej miłości, troszeczkę jedynie.
Nie prętyć się, lecz słuchać. Słuchać i pojmować.
Nie chcieć przed złem się co dzień bronić ani chować.
Być człkiem dobrym, który to, co może, czyni.

Trochę więcej miłości na tyle gorczy,
Na tyle w sercach ludzkich utrapień i męki.
I trochę łagodności w każdym ruchu ręki.
Trochę ciszy, słodczy...

Dziś i jutro UMCS

Wywiad z rektorem UMCS prof. dr Wiesławem Skrzydło

— Panie Rektorze, na jakich kierunkach studiów skupiała się ucząca tegorocznych maturzystów, starających się o przyjęcie na UMCS?

— Zgodnie z tradycją, największym zainteresowaniem cieszyły się prawo, filologia polska, biologia. Pewne wyobrażenia o racjonalności wyboru kierunku przyszłych studiów przez absolwentów szkół średnich daje znaczna liczba kandydatów na ekonomikę przemysłu, przy znacznie mniejszym zainteresowaniu ekonomiką rolnictwa, mimo że Lubelszczyzna jest przecież województwem rolniczym. Stare skłonności do studiów prawniczych wynikają zapewne z przekonania, że kwalifikacje tego typu umożliwiają zatrudnienie także poza sądownictwem, m. in. w Milicji Obywatelskiej, Służbie Bezpieczeństwa i administracji państwowej. Jest to przekonanie nieco zawodne, bo trudno liczyć, aby instytucje te wchłonęły wszystkich naszych absolwentów, stąd też i limity przyjęć na studia prawnicze zostały w ostatnich latach ograniczone. Muszę przyznać, że oczekiwaliśmy większego zainteresowania Wyższym Studium Nauczycielskim, biorąc pod uwagę niedawne decyzje władz co do uposażeń nauczycieli, ogłoszenie Karty Praw Nauczyciela; pewien wzrost zgłoszeń odnotowaliśmy jednak na studiach zaocznych WSN. Należy przypuszczać, że w przyszłym roku sytuacja ta ulegnie zasadniczej poprawie.

— Najogólniej rzecz biorąc: czy absolwenci UMCS mogą liczyć na zatrudnienie na Lubelszczyźnie? Jak przedstawia się ta kwestia w przypadku np. chemików?

— Zasadnicza większość naszych studentów pochodzi z Lubelszczyzny i tutaj znajduje zatrudnienie; pod kątem potrzeb regionu uruchamiamy zresztą nowe kierunki studiów. Z drugiej strony trudno oczekiwać, aby wszyscy absolwenci znaleźli pracę w gospodarce województwa. Dotyczy to m. in. chemików, ponieważ lubelski przemysł chemiczny jest ostatecznie dość skromny. Warto jednak pamiętać, że jako jedyny uniwersytet na obszarach na wschód od Wisły mamy zobowiązania kadrowe w stosunku do sąsiednich województw, dla których kształcimy specjalistów różnych kierunków. Ponadto — że powróć do sprawy chemików — uniwersyteckie studia chemiczne przygotowują do pracy naukowej, w laboratoriach, w końcu do pracy w szkolnictwie, różniąc się programowo od studiów politechnicznych. Niemniej dla potrzeb Zakładów Azotowych w Puławach prowadzimy studia inżynierskie; są to studia wieczorowe.

Chciałbym przy okazji wskazać, że obowiązujący u nas system zatrudnienia absolwentów szkół wyższych pozostawia sporo do życzenia, albowiem nie preferuje ludzi szczególnie uzdolnionych, sprawdzonych podczas studiów. Tymczasem np. w Rumunii absolwentów grupuje się według wyników egzaminów magisterskich i najlepsi mają prawo pierwszego wyboru pracy z przedstawionej listy; student wie, że im lepsze wyniki będzie osiągał w nauce, tym lepszą, bardziej atrakcyjną materialnie i terytorialnie, otrzyma pracę po skończeniu uczelni. W warunkach lubelskich nie najlepiej przedstawia się także sprawa stypendiów fundowanych, które są stosunkowo i nieliczne, i mało interesujące. Większe zainteresowanie absolwentami UMCS wykazują instytucje i przedsiębiorstwa spoza Lubelszczyzny, które oferując im lepsze warunki, wyższe stypendia, realizują coś w rodzaju drenażu mózgow. W ten sposób pozbywamy się np. tak bardzo potrzebnych anglistów. Sensowną politykę zatrudnienia umożliwiłaby reforma systemu przydzielania stypendiów, nacelowana na rozwój stypendiów fundowanych. Prawdę mówiąc nigdy nie wiemy, ilu absolwentów potrzebuje gospodarka województwa, jedynie Kuratorium potrafi konkretnie przedstawić swoje oczekiwania w tym zakresie.

— Czy uczelnia dysponuje dostateczną liczbą samodzielnych pracowników nauki? Przy okazji: w jakim stopniu rozwinięta jest u nas instytucja „docentów pociągających”, czyli dojeżdżających z innych ośrodków?

— Niektóre kierunki i wydziały mają obsadę wystarczającą, a nawet znacznie powyżej normy, co dotyczy przede wszystkim geografii; stać nas nawet na eksport kadry. Natomiast niedobory, często znaczne, występują na kierunkach nowo otwartych, szczególnie na ekonomii — jest to zresztą zjawisko ogólnokrajowe — i na neofilologii. Jeśli zaś chodzi o kadry, jak pan to

określił „pociągową”, tak, to jest problem. Dojeżdżają do nas z innych ośrodków nie tylko docenci, ale i profesorzy, niektórzy od wielu lat, są wśród nich tacy, którzy zdobywali stopnie naukowe właśnie na UMCS. Chętnie byśmy widzieli ich u nas na stałe, lecz z braku innych możliwości godzimy się z sytuacją, która istnieje. Ktoś, kto posiada wygodne mieszkanie w Warszawie czy Krakowie, którego małżonek pracuje w jednym z tych miast, niechętnie zgodziłby się na zamieszkanie w Lublinie. Rzecz dotyczy przede wszystkim ekonomii, następnie prawa i historii. Uruchomienie an-

Biblioteki Uniwersyteckiej trzeszczy już w więzaniach, z trudem mieszcząc ciągle rosnący księgozbiór...

— Tak, to prawda, ale trzeba wiedzieć, że budynek został oddany z niepełnym wyposażeniem — brak regałów w niektórych pomieszczeniach — co obecnie likwidujemy. Poza tym w budynku mieszczą się właściwie trzy biblioteki — nasza, WSR i WSI — z osobnymi dyrekcjami, a każda uczelnia planuje własne zakupy, uprawia własną politykę, każda myśli, oczywiście poza UMCS, o wyprowadzeniu się do własnych obiektów, które mają powstać w najbliższych latach. Biblioteka jest więc po części przechowywalną księżką, a nawet magazynem — Akademii Medycznej, która również rozważa problem wzniesienia własnej biblioteki. Rzecz komplikuje rozbieżność między założeniami projektowymi budynku, a rzeczywistym, znacznie większym napływem książek i czasopism, niż to kiedyś przewidywano. Jedynym rozwiązaniem problemu jest przypięszenie budowy bibliotek WSR i WSI; pierwsza z tych uczelni przewidziała ją w następnej pięcioletce... Innym i trudnym problemem, związanym z informacją naukową, jest brak centralnego katalogu w bibliotece przy ul. Nowotki. Sporządzenie go, to sprawa niezmiernie skomplikowana i czasochłonna, niemniej od 1 stycznia przyszłego roku zamierzamy poczynić pewne kroki w kierunku wspomnianej centralizacji informacji bibliograficznej, co będzie zaczątkiem centrum informacji naukowej. Obecnie, jeśli nie otrzyma się jakiejś poszukiwanej książki np. w bibliotece UMCS, trzeba szukać jej w dwóch pozostałych, tracąc czas — pod jednym dachem.

— Jakie obiekty będzie uznosiła uczelnia w latach najbliższych? Czy dysponujecie odpowiednimi terenami budowlanymi?

— Obecna pięcioletka jest szczególnie hojna dla Uniwersytetu. Do końca czerwca bieżącego roku zakończyliśmy pierwszy etap rozbudowy gmachu fizyki i budowę krytej pływalni; liczymy na rozwój sportu pływackiego w środowisku akademickim i nauki pływania, co jest szczególnie istotne w wypadku naszych studentów, w większości pochodzących ze wsi i małych miast. W trakcie budowy znajduje się budynek obwodowej przychodni lekarskiej dla studentów, jesienią rozpoczniemy wznoszenie dwóch hal sportowych i jedenastopiętrowego gmachu fizyki (drugi etap). W roku przyszłym przewidujemy budowę domu studenckiego, obiektów wydziału ekonomicznego i rektoratu, pawilonu chemii organicznej. Środki mamy zapewnione, chodzi tylko o to, aby lubelskie przedsiębiorstwa budowlane dysponowały odpowiednią mocą przerobową... Planujemy również budowę stadionu sportowego na 10 tysięcy widzów. Rzuciliśmy myśl, aby młodzież akademicka zbudowała w czynie społecznym duży basen odkryty z podgrzewaną wodą. Tereny pod te inwestycje mamy w zasadzie zapewnione.

— Jakie kierunki studiów zamierza UMCS uruchomić w przyszłości, a jakie ulegną likwidacji?

— Potrzeby województwa składają nas do uruchomienia romanistyki (być może już w roku przyszłym), germanistyki, filozofii, na którą rekrutacja rozpocznie się w 1973 r., biofizyki. Zastanawiamy się zarazem nad otwarciem studiów psychologicznych. W zasadzie nie przewidujemy likwidacji żadnego z dotychczasowych kierunków, poza stacjonarnymi studiami pedagogicznymi, które mają profil zbyt ogólny... Szybki rozwój nauki stawia przed nami dodatkowe zadanie: aktualizacji wiedzy, czemu służyć będą studia podyplomowe, obecnie ograniczone do logopedii i fizyki. W przyszłości projektujemy uruchomienie podyplomowych studiów ustawodawstwa gospodarczego, psychologii wychowawczej, kulturalno-oświatowego, wychowania obywatelskiego, kierowania szkołą, ochrony i zagospodarowania środowiska gospodarczego, metod numerycznych, ekonomiki rolnictwa, przemysłu i innych.

— Dziękuję Panie Rektorze, za wyczerpującą informację o aktualnych i przewidywanych problemach Uniwersytetu, o jego sytuacji, która dostarczyła na pewno redakcji niezbędnego powodu do publicznej roboty.

Rozmawiał:
Ireneusz J. Kamiński



Prof. dr Wiesław Skrzydło urodził się 11 kwietnia 1929 r. W roku 1948 rozpoczął studia prawnicze I stopnia na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Studia magisterskie kontynuował w Warszawie, skupiając swoje zainteresowania na problematyce związanej z prawem państwowym, czego efektem była praca „Rada Państwa w świetle Konstytucji PRL”. Po powrocie do Lublina rozpoczął pracę naukowo-dydaktyczną w zakładzie prawa państwowego, kierowanym przez profesora A. Burdę. W pracy doktorskiej podjął zagadnienia wówczas w nikłym jeszcze stopniu opracowane przez naukę („Rola i funkcja społeczna partii w ustroju politycznym Polski Ludowej”). Następnie wyjechał do Paryża, gdzie studiował w Instytucie Nauk Politycznych u prof. M. Duvergera. Rezultatem tych studiów okazała się praca habilitacyjna na temat przemian polityczno-ustrojowych w powojennej Francji. Począwszy od lat studenckich jest aktywnym działaczem politycznym i społecznym, pełni różne funkcje na UMCS. Od 1965 r. był prorektorem Uniwersytetu, 22 maja br. otrzymał nominację na rektora uczelni. Bierze udział w pracach komitetów PAN, jest wiceprzewodniczącym Podsekcji Nauk Politycznych, prowadzącej m. in. prace przygotowawcze do II Kongresu Nauki Polskiej. Członek Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR, kierujący zarazem działalnością Komisji Nauki i Oświaty KW. Cechy charakteru i sposób działania zjednały mu żywą sympatię wśród młodzieży akademickiej.

glistyki i rusycystyki było możliwe poprzez sprowadzenie docentów z Wielkiej Brytanii i ze Lwowa; zapewniło to jednak wysoki poziom dydaktyki.

— Czy należy oczekiwać poprawy sytuacji mieszkaniowej młodej kadry naukowej?

— Kilka lat temu chodziło nam, z oczywistych względów, o umocnienie kadry profesorskiej, stąd odpowiednio ukierunkowanie polityki mieszkaniowej, z konieczności w mniejszym stopniu uwzględniającej potrzeby bytowe asystentów. Obecnie problem mieszkaniowy dla młodej kadry władze uczelni uznały za kluczowy, czego dowodem nie tylko wzniesienie Hotelu Asystenckiego, który zdał egzamin jako mieszkanie przejściowe, ale i zdecydowane poparcie dla inicjatywy Kola Asystenckiego ZMS, zmierzającej do budowy Domu Asystenta: na zasadach spółdzielczych, w obrębie dzielnicy uniwersyteckiej, szybko. Idea ta zyskała uznanie władz partyjnych i administracyjnych województwa, obecnie oczekujemy na finalizację sprawy. Patronat nad budową obejmie ZMS.

— Według naszych informacji, niedawno oddany do użytku gmach

Wyżej niż helikopterem

WYPLYNĘLI na początku stycznia. Wrocili do Polski przy końcu lipca. Byli ponad 6000 m nad poziomem morza. Wdzierali się na wysokie szczyty, penetrowali podziemne jaskinie. Zdawali egzamin ludzie i maszyny: motocykle z WSK Swidnik, który to zakład patronował dalekiej wyprawie, spisywały się wyczerpanie. A przecież trzeba było niekiedy całymi godzinami wspinąć się w górę na pierwszym biegu. Zdarzały się tak fatalne ścieżki, że trasę 42 kilometrową pokonywano w ciągu aż 6 godzin! Kiedy wylały rzeki, człowiek zmieniał się w taragarza: nie maszyny niosły ludzi, lecz ludzie maszyny.

Inż. Adam Stec, kierownik sekcji prób trakcyjnych w WSK Swidnik, należał do siódemki śmiarków. Spokojnie teraz popijał kawę, przy opuszczonych zasłonach oglądaliśmy przeżoła obrazujące poszczególne etapy wyprawy do Chile i Peru.

— W skład naszej grupy — mówi — wchodził doświadczony członek Klubu Wysokogórskiego. Kierownikiem wyprawy był Maciej Kuczyński, m. in. uczestnik wyprawy na Spitzbergen, na Kubę i dwukrotnie do Mongolii, a jego zastępcą Ryszard Rodziński, świetny znawca Hindukuszu. Część funduszy mieliśmy własnych, trochę dewiz dołożył Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego, ponad 100 tysięcy złotych wyasygnowała Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Swidniku. Ministerstwo Żegludki poszło nam na rękę i bezpłatnie przewiozło do Valparaiso, a potem z Callao do Gdańska nasz sprzęt, a także samochód i trzy motocykle, no i pokazała ilość różnego rodzaju konserw: mieliśmy tego około półtorej tony! Kucharzyliśmy więc cały czas sami, uzupełniając menu owocami i chlebem — to już były produkty południowoamerykańskie.

Z Gdańska do Valparaiso na m/s „Staszyc” płynęliśmy około sześciu tygodni, zwiedzając po drodze różne porty. Nie zmarnowaliśmy tego czasu: inż. Kuczyński uczył nas języka hiszpańskiego, opanowaliśmy zasób podstawowych słów i zwrotów, tak że jako tako mogliśmy już dogadywać się na miejscu.

W Valparaiso powitano nas z wszelkimi honorami, przyjął nas serdecznie prezydent miasta, dwóch chilijskich kolegów z Federacji Andynizmu i Turystyki towarzyszyło nam cały czas pobytu w Chile.

Stolica — Santiago wywarła na nas sympatyczne wrażenie. Typowe europejskie miasto, tylko układ ulic przypomina miasta Północnej Ameryki. Radaca handlowy naszej ambasady zaprosił przedstawicieli rządu do spraw rozwoju gospodarczego kraju, którym zaprezentowaliśmy nasze motocykle. Zarysowuje się możliwość kooperacji. Późniejsza praktyka wykazała, że motory doskonale radzą sobie w terenie.

Zycielwie odniosło się do nas wesoło: otrzymaliśmy dokładne mapy, które bardzo nam pomogły przy wejściach na szczyty. Zanim jednak to nastąpiło, odbyliśmy piękną wycieczkę do Banias Morales. Tam

pierwszy raz jadłem mariscos — świetnie przyrządzone morskie potrawy. Obficie zapiliśmy je winem, dziwiąc się później, skąd na takich pustych i kamienistych obszarach rodzi się tak smakowita winorośl.

Po tygodniu ruszyliśmy w dalszą drogę. 800 km dość dobrej trasy panamerykańskiej i znaleźliśmy się w Copiapo, centrum górniczym. Pojedźmy tu na nas wielki miłośnik sportów górskich, Don Tibulso, właściciel kopalni miedzi. W Copiapo pozostawiliśmy zbędny sprzęt i udaliśmy się w kierunku gór. To już nie było takie proste. Musieliśmy się wnieść na przełęcz Muerto Cabello. Latwo powiedzieć: „wnieść się”, ale trzeba zdać sobie sprawę, że przełęcz ta leży na wysokości 4200 m, a więc znacznie wyżej niż Rysy. Nasze organizmy, a zwłaszcza mój organizm — człowieka nizin, nie były przyzwyczajone do tak nagłego spadku ciśnienia. Odczuwałem przyspieszone bicie serca, męczyła mnie zadyszka. Chwilami trzeba było motocykle przepychać, a tutaj nadmierny wysiłek kosztował bardzo wiele.

Ostatecznie musieliśmy skapitulować: cofnąć się i rozbić obóz na wysokości 3500 m, by w nim przebiwakować trzy dni. Chodziło o to, aby nasze organizmy mogły przystosować się do wysokości. Sypialiśmy na dworcze w śpiworach. Temperatura, która w dzień wynosiła około 30 stopni C, spadała nocą do minus 10. Często budziłem się, zdawało mi się, że ktoś mnie dusi za gardło. Po kilku mocniejszych wdechach organizm wracał do normy.

Po trzech dniach udało nam się wreszcie sforować przełęcz: skierowaliśmy się w kierunku Salarum Maricunga, rozbijając drugi obóz na wysokości 3700 m. W dalszym ciągu aklimatyzowaliśmy się, chodząc po okolicznych górach.

Kolejnym etapem naszej podróży stał się rejon Laguna Verde — Jeziora Zielone (4200 m). Skorzystaliśmy z kamienistego płota sporządzonego przez naszych poprzedników: za nim ustawiliśmy nasze namioty, chronił od ostrych wiatrów. Był tu też dołek z naturalną ciepłą wodą o temperaturze 36 stopni C. To wiele, zważywszy, że temperatura jeziora wynosiła 13 stopni C.

Właśnie z tego obozu zaczęliśmy już właściwą działalność wysokogórską. Moi koledzy dokonali drugiego wejścia na szczyt: Serro Muertas (5880 m) i Serro Ermitanio (6180 m). Drugiego wejścia — to znaczy, że byli drugimi, którzy je zdobyli. Na szczytach zastali pamiętki po pierwszej wyprawie — proporczyki, zdjęcia, legitymacje, naszywkę. Zabrani je z sobą, pozostawiając na ich miejscu ślady swego pobytu.

Znad Laguna Verde udaliśmy się jeszcze na przełęcz San Francisco (4700 m), leżącą między Chile a Argentyną, na moment przeszliśmy nielegalnie granicę, dokonując kilku zdjęć.

Kiedyś odbywał się tędy przepęd bydła z Argentyny do Chile. Z tego

okresu pozostało wiele padłych zwierząt. Niektóre wyschły na słońcu. Jest tam tak sucho, że podłina nie rozkłada się. Roślinność, bardzo mierna, owszem, spotyka się ale można ją polamać i zaraz spalić. Widzieliśmy też flamingi — ptaki najwyższe żyjące. Są one bardzo płochliwe, trudno do nich podejść. Jeśli zaś chodzi o zwierzęta, to zetknęliśmy się z takimi, co zważy się guano, należącymi do podrodziny lam: mają one wielkość jeleni i welnistą sierść. W dużej mierze już je wytopiono i dlatego są pod ochroną, ale niektórzy nielegalnie nadal na nie polują.

Następny obóz rozbiliśmy u stóp masywu Tres Cruces — Trzech Krzyży. Na najwyższy szczyt — Ojos del Salado wspiął się Ryszard Rodziński i jeden z towarzyszących nam Chilijszczyków, Claudio Lucero. Ojos del Salado ma dwa wierzchoł-

czy, dla uczczenia wkładu polskich wypraw w Andy, zaproponowali, aby szczyt ten nazwać Serro Polonia. Odpowiednie wnioski skierowali do chilijskiego instytutu kartografii.

Zadanie wykonaliśmy i przed wyruszeniem do Peru wróciliśmy jeszcze do Copiapo, co trwało półtora dnia. Tam przeżyliśmy małe trzęsienie ziemi. Spaliśmy właśnie w szopie, która miała konstrukcję stalową, dach był zrobiony z eternitu. Gdy o piątej rano zaczęło się trzęsienie, obudziliśmy się: lomotął dach, czułem też przez dmuchany materac wyraźne drgania ziemi. Trwało to około minuty.

Święta Wielkanocne spędziliśmy na pustyni w drodze do miejscowości Arica, blisko granicy peruwiańskiej. Zoapatrzyliśmy się w jajka, aby wszystko było, jak należy...

W Peru nie zdobywaliśmy już szczytów, ale zajęliśmy się grotami. Zjechaliśmy z drogi panamerykańskiej i cały czas podróżowaliśmy po drogach gruntowych. Zmieniły się okolice: nie było już pustyni, pokazało się znacznie więcej zieleni. A już za zielenią zacząłem tęsknić...

Wysokości nadal jednak były potężne.



Obóz nad jeziorem Laguna Verde

ki: jeden o wysokości 6880 m, drugi — 6884 m. Na pierwszy wierzchołek było to dziewiąte wejście, na drugi — trzecie. Zajęło to pięć dni.

Na tych terenach zachował się jeszcze jeden szczyt nieknięty nogą człowieka — Serro Solo (6100 m). Z daleka wygląda on jak góra usypanego piasku, a w rzeczywistości jest to lodowiec pokryty warstwą pumeksu. Wejście wydaje się na pozór łatwe, a jednak koledzy, Kuczyński, Parma i Kibiński, stracili tam trzy dni. Oczywiście żadnego trofeum nie znaleźli, ale sami zostawili różne pamiętki, między innymi pompkę od naszego motocykla.

Chce jeszcze wspomnieć o jednym wejściu — Wiesława Maczka i Chilijszczyka, Augustina Cubilli — na szczyt, który dotychczas nie ma żadnej nazwy. Również nie tknęła go dotąd noga człowieka. Wznosi się on na wysokość 6100 m. Chilijs-

Uprzednio mieliśmy nawiązany kontakt z profesorem geografii na uniwersytecie w Cuzco, który miał nam pomóc. U nas — ani w literaturze polskiej, ani w obcej — nigdzie nie mogliśmy zdobyć informacji, które by bliżej charakteryzowały peruwiańskie tereny jaskiniowe. Nasze zadanie nie polegało więc na samym przechodzeniu jaskiń, ale na rozpoznaniu terenu: gdzie te jaskinie są. Wiedzieliśmy, że nieliczne znajdują się w rejonie Cuzco na terenie starej twierdzy Inków, Saksalaman. Według krążących tu legend pod tą twierdzą miały być w XVI wieku ukryte przed Hiszpanami skarby Inków. Może dlatego tutaj szła ludność tak niechętnym wzrokiem patrzy na obce ekspedycje. Towarzyszący nam przedstawiciel federacji grotolazów peruwiańskich zoapatrzył się w amerykański przyrząd, mający pomóc w wykryciu

skarbów. Był to przyrząd mocno niedoskonały. Reagował na metale, nie metale są przecież w składzie samych skał. Coś tam od czasu do czasu w słuchawkach zatrzeszczało, ale żadnych skarbów nie znalazł.

Spenetrowaliśmy też i inne jaskinie, dokonując pomiarów i sporządzając plany, które przekazyaliśmy do dalszego opracowania. Najbliższa jaskinia (obok miasta Tarma, 300 km od Limy), którą zbadał, miała 1,5 kilometra. Na pozór nie jest to wiele, ale na jej przebycie potrzebowaliśmy jednak aż 19 godzin. Często trzeba było przeciskać się przez syfony, niejednokrotnie zarywać ziemne kapieli.

Obok była druga jaskinia — najgłębsza.

Wszystko to było bardzo urokliwe: stalaktyty, stalagmy, barwa światła, węgiel wapnia układał się w kształcie posadzki. Jeżeli w nią się uderzało, powstawał głuchy odgłos. Miejscowa ludność potrafiła z tego wydobywać różne efekty akustyczne.

Niektóre jaskinie służyły w ubiegłych wiekach jako cmentarzyska, napotykalimy więc na wiele kości

ludzkich. Zmarłych kładziono zwykle pod ścianami. Widocznie i tu poszukiwano skarbów, gdyż wiele kości było porzucanych.

Powróciliśmy do Polski z peruwiańskiego portu Callao na statku m/s „Henryk Jendza” 24 czerwca. Moi koledzy dokonali poważnej pracy badawczej. Ja nie jestem andynistą, nawet nie jestem tatarnikiem, ale jak tylko mogłem starałem się pomóc w tej sprawie. Przede wszystkim badałem jednak nasze motocykle świdnickiej produkcji. I muszę powiedzieć, że i na tych wysokościach spisywały się one wyczerpanie. Ponieważ w naszym zakładzie oczkiem w głowie są śmigłowce, mogę teraz żartobliwie powiedzieć, że nasze motocykle były wyżej niż wynosi dozwolony pułap dla helikopterów.

MAJ

Odejdźcie hippiesów

Dokończenie ze str. 1

towanymi afgańskimi kozuchami, nadal z ich wnętrza niesie się duży zapach hinduskich kadzidel, ale klientów już jest mało i są nimi nie tyle hippisi, co spragnieni egzotyki turyści z kontynentu.

Obserwowałem próby ratowania „interesu” przez kolejne, coraz większe, obniżki dochodzące niekiedy do połowy pierwotnej ceny oferowanego towaru, które mimo to nie potrafiły przechodzić zachęcić do wejścia do wnętrza sklepu. Są to już rzeczy niemodne i właściwie nikogo nie interesujące. Nawet — wciąż jeszcze wędrująca głównymi ulicami Londynu malownicza komuna wyznawców boga Krishny — grupa młodych dziewcząt i chłopców z ogolonymi głowami i powłóczystych, hinduskich sztach, nie budzi już, jak dawniej, zainteresowania. Oni też stali się „niemodni”.

Teraz, kiedy faktem jest, że wśród młodzieży dokonała się swoista „rewolucja”, chociaż za wcześniej jeszcze na jakikolwiek generalizację wnioski, wyraźne już można zauważyć zmiany w wielu dziedzinach. Wydaje się odchodzić fala seksu, zaczyna dominować inny model życia. Wprawdzie nadal modna jest ucieczka od złego, skomercjalizowanego, uprzemysłowionego świata,

ale tym razem już nie w góry Nepalu, a bliżej — na swojską, sielską prowincję. Po szaleństwie tworzenia komun, po zbiorowym życiu seksualnym etc. młodzi wybierają model „małej, szczęśliwej rodziny”, najczęściej z dziećmi, jednak wolnej od konwencjonalizmu własnych rodziców. W spadku po hippiesach pozostały chyba — chęć ucieczki do „nieskażonej” natury, zwiedzania świata, swobodnego, zdrowego seksu, jaskiego — ale już bez fanatyzmu — odżywiania i niekonwencjonalnego stroju.

Rzecz charakterystyczna: reklama handlowa, tak bardzo wyczulona na zmiany gustów i upodobań młodego społeczeństwa, bardzo szybko przestawia się na nowe tory. Reklamuje się już wiele produktów przy pomocy zdjęć szczęśliwej młodej rodziny wkomponowanej w wiejski pejzaż. Również na okładkach wielkich ilustrowanych tygodników coraz częściej zamiast demonicznych hippiesów o jaskrawym makijażu, pojawiają się pierwsze jaskółki nowego: romantyczne zdjęcia złotychwłosych dziewcząt prezentujących „sielsko-wiejskie” stroje, jakby żywcem wyjęte z albumu własnych babek.

Modę na „starą wesołą Anglię” rodem z dziewiętnastego wieku można już też dostrzec na londyńskiej ulicy. W artystycznej dzielnicy Chelsea, najszybciej wychwytyjącej wszelkie „nowinki”, coraz więcej dziewcząt w długich, marszczonych spódnicach, „wiejskich”

fartuchach i bluzkach z drukowanego kretonu. Kretony te wyróżniają się pięknymi wzorami i wyszukаныmi, pastelowymi kolorami. Głównym ich projektantem i zarazem producentem jest Laura Ashley.

Laura Ashley, mająca już w Londynie kilka swoich sklepów fabrycznych, rozpoczęła karierę jako projektantka tkanin dekoracyjnych. W owym czasie była właścicielką niewielkiej manufaktury w Walli, w której farbowano i drukowano kretony. Dzisiaj te kretony o wzorach inspirowanych m. in. starą sztuką walijską zrobiły ogromną karierę, a dawniejsza manufaktura rozrosła się do rozmiarów sporej fabryki wyposażonej w nowoczesne maszyny szwarcarskie i holenderskie. Ale to nie wszystko. Laura Ashley wychodząc naprzeciw rodzącej się fali nowej mody, notabene jakby wymarzonej dla jej tkanin, otworzyła w Londynie swój pierwszy sklep z odzieżą, która jest chyba akurat tak „wiejska”, jak trzeba, sądząc po tłumach przewijających się przez sklep klientek. Sklep, usytuowany przy Fulham Road, odbiega atmosferą od innych młodzieżowych magazynów: ma stosunkowo skromnie wyposażone, bezpretensjonalne wnętrza, klient nie jest tu atakowany muzyką beatową ani wyszukany efektami świetlnymi mającymi na celu wprowadzenie go w „trans”, w którym sztybel zdecydować się na kupno byle jakiego towaru. Tutaj — przeciwnie: dominuje masa różnorodnej, stosunkowo taniej odzieży, rozmieszczonej po prostu na stelażach, ale obejrzeć ją można — sklep jest samoobsługowy — w ciszy i przy świetle dziennym. Nad całym sklepem czuwa tylko jedna osoba, starsza, skromnie ubrana pani, wyglądająca bar-

dziej na... terejarkę niż na kierowniczkę jednego z najmodniejszych magazynów.

Zupełne przeciwieństwo sklepu i stylu Laury Ashley stanowi słynna „Biba”, ciesząca się również ogromnym powodzeniem wśród młodzieży. Ten wielki magazyn mieszczący się przy eleganckiej High Street Kensington, stanowi własność młodej Angielki polskiego pochodzenia — Barbary Hulanickiej. „Biba” w swoich modelach również nawiązuje do mody dziewiętnastowiecznej, ale są to reminiscencje wyraźnie secesyjne. W obszernym, bardzo „prezentacyjnym” wnętrzu sklepu, panuje półmrok. Zakomponowane jest ono niezwykle konsekwentnie — dekoracja, towary, a nawet... ekspedientki tworzą harmonijną całość. Wśród malowanych parawanów, peków strusich piór, luster w złotych ramach, młode dziewczęta z całego świata kupują odzież, bieliznę i kosmetyki a ostatnio mogą kupić nawet tapety i tkaniny dekoracyjne à la „Biba”. „Biba” ma bowiem jak widać ambicje szerszego kształtowania gustów swoich klientów.

Rzeczy od „Biby” mają wielkie powodzenie, odznaczają się doskonałym krojem, atrakcyjnością fasonów — przy średniej jakości materiałów, z jakich są produkowane i... jednak więcej niż średniej, cenie. Na marginesie warto odnotować, że talent handlowy Barbary Hulanickiej podsunął jej oryginalny pomysł produkowania kosmetyków w specjalnej gamie kolorystycznej dla ciemnoskórych dziewcząt, stanowiących przecież poważny odsetek mieszkańców Londynu. W ten sposób zyskała sobie „Biba” liczną rzeszę nowych klientek.

Zarówno Laura Ashley, jak i „Biba” propagują modę „zmysłową”, aczkolwiek z dwóch przeciwstawnych pozycji, przy czym jednak propozycje tej pierwszej są bardziej zbliżone z obecnymi nastrojami i upodobaniami dużej części angielskiej młodzieży.

Dla tych zaś, którym nie odpowiadają obydwaj lansowane kierunki, pozostaje jeszcze wesoła, kolorowa odzież z motywami w stylu „pop”, królująca w młodzieżowych boutique'ach przy King's Road. Natomiast na najwyższym piętrem najdroższego i najelegantszego domu towarowego — „Harrods” przy Knightsbridge magazyn młodzieżowy „Way in” sprzedaje — poza bielizną i kosmetykami słynnej Mary Quant, twórczyni minipodnieczek — stroje mogące zaspokoić właścicieli wszelkie gusta różnych grup młodzieży. I tych, których nęci sielska prowincja, i zwolenników stylu „pop”.

Bowiem stary, doświadczony „Harrods” jest przekonany, że mody i burzliwe odżywianie się młodzieży od mieszczańskiego establishmentu, jak zwykle, przemina, a klient, jak zawsze, pozostanie. Tak więc nazwa „Way in” — „Wejście” nabiera podwójnego znaczenia: dzisiejsi „gniewni” i „zbuntowani” — nawet nie zdają sobie sprawy, że oto zastawiono na nich kolorową pułapkę — wiedzeni przyzwyczajeniem będą już tutaj stale kupować dla siebie i dla swoich dzieci, tylko, że w miarę upływu lat, na niższych, właśnie owych „mieszczańskich”, piętach.

Oczywiście, dotyczy to tylko tych, którzy będą dysponowali odpowiednimi kontami bankowymi.

Mirosław Derecki

LIPCA 1572 r. zmarł w Krynicy król Polski i Wielki Książę Litewski Zygmunt August. Był ostatnim w linii męskiej przedstawicielem dynastii Jagiellonów, od dwu wieków bez ma-



...miejscowym krokiem opuścił salę, odnosząc zwycięstwo. Odrzucanie decyzji i powolność w ich podejmowaniu przesłała u niego w nawyk. „Każde bowiem rzeczy, które powoli z do-

...zgorzchnięty od jednej kochanki do drugiej. Gorłowy był nawet w morganatycznym małżeństwie, by-
...pisał cesarski Cyrus, raportował do Wiednia: „Król szesnasty się z rezerwacją, trybny mu dala syna”, 6 czerwca tego roku pisał zaś — „Król im się śmieci bliższy staje tem bardziej o następ-

...Kto zwiadał katedrę wawelską zwrócił uwagę na symbol „zygmuntowskich czasów” — Kaplicę Zygmuntowską. Warto tutaj przyrzeć się dwu posagom nagrobnym umieszczonym jeden nad drugim: ojca i syna, Zygmunta Staro- i Zygmunta Augusta. W przeciwieństwie do bezrozumnego postaci Zygmunta Staro- i Zygmunta Augusta, wy-

W 400 rocznicę śmierci ostatniego z Jagiellonów

Zygmunt August

Ryszard Szczygieł

...Urodzony 1 sierpnia 1520 r. z drugiej żony Zygmunta Staro- i Zygmunta Augusta, dzieciństwo i młodość spędził pod opieką matki. Ona to nadawała ton jego wychowaniu, snując wobec osoby Zyg-

...cała Litwa i Korona szeptała o tajemnym ślubie króla z panną. Oburzona się szlachta, senatorowie, że bez ich zgody, szalała wprost Bona, mająca już nowe widoki małżeńskie dla swego „babijana”. Przeciwnie związków, gdy został ujawniony na sejmie Piotrkowskim, byli wszyscy, popierali go jedynie: biskup krakowski Samuel Maciejowski i hetman Jan Tarnowski, obaj nie-

...nych” i to w okresie, gdy cała niemal Europa pawiła się w bratobójczych walkach religijnych. Jak stwierdził znakomity znawca kultury A. Brückner, nie unia z Litwą i nie Grunwald jedynie rozstrząsały Polskę tego czasu w Europie. Dokonały tego jej tolerancja i nieklamana wolność. Miarą popularności ostatniego z Jagiellonów wśród świata uczonych są chociażby liczne dedykacje dla niego

...Chęć pozostawienia po sobie następcy związana była z głęboką troską o bezpieczeństwo federacji, którą z takim trudem powołał do życia. Dochodził przecież króla ciągle machinacje dworów ościennych, jedynanie zwolenników w kraju na wypadek śmierci Jagiellona. Poddani, a zwłaszcza magnaci „znosili się” też ze sobą, robiąc przymiarki do tego lub innego kandydata.

...Niewiele zmieniło nawet małżeństwo z Elżbietą Habsburską, zawarte wbrew Bonie w r. 1543. Jej to machinacje doprowadziły do wielu nieporozumień, faktycznej separacji małżonków, a następnie wyjazdu Zygmunta Augusta na Litwę, na której wielkoksiążęcy tron zasiadł już od 1529 r. Tutaj Wielki Książę dostał się pod wpływ

...W takiej atmosferze następuje śmierć Zygmunta Staro- i objęcie rządów w Koronie przez jego syna.

...Panowanie swoje rozpoczął Zygmunt August od ostrego zatargu z poddanymi, popieranymi przez potężną ciagle matkę. Jeżeli wygrał to dzięki swojemu uporowi i zdolnościom. Wydaje się, iż na tym polega między innymi jego wielkość, że nie będąc w 1548 r. przygotowanym do rządzenia potrafił sprostać wszystkim problemom i w ogniu ostrej walki przechodził zarazem edukację jako władca.

...W czasie kiedy krystalizowała się osobowość polityczna Zygmunta Augusta, 8 maja 1551 r. zmarła po długiej chorobie ukochana Barbara. Odtąd aż do śmierci będzie chodził w żałobie, a nawet w testamentie wspomni August o tej małżonce. Na pierwszym miejscu będzie teraz stał cel polityczny, które miały uporządkować sprawę wewnętrzne państwa i powiększyć jego potęgę. W celu ich realizacji nie zawahał się nawet odejść od tradycyjnego sojuszu władcy z senatem,

...Ze szczególną starannością kompletował August wielki zbiór gobelinów, zwanych u nas arrasami. W myśl testamentu dziedzićca jego miały się nimi „czyszczyć” tylko do swej śmierci, a następnie „te wszystkie legata opisane na Koronie Polskiej i Wielkiej Księstwie Litewskiej jako na jedną Rzeczypospolitą, ale tylko ku pospolitej potrzebie, nie ku czyniej innej oddajemy i odkazujemy”. Było to postanowienie niezwykle w skali światowej, wyprzedzające o wiele lat słynne florenckie legacje Medyceuszów.

...Romana młodego króla z Barbarą, wdową po ostatnim z Gszoldów, wojewodzie trockim Stanisławie, rozpoczął się najprawdopodobniej już po jego przyjeździe na Litwę w sierpniu 1543 r. Bracia pięknej wojewodziny, rodzeni, Mikołaj Rudy, oraz stryjeczny, Mikołaj Czarny, patrzyli zaskawim okiem na rozwój wydarzeń, wiążąc z zainteresowaniem Zygmunta Augusta ich siostrę

...Walcząc o Barbarę i jej koronację wniknął Zygmunt August w tajniki życia wewnętrznego i polityki zagranicznej państwa. Nie nawykł do takiej pracy, więc działał powoli, niejedną rzecz odkładając, inne zatłuwając w trybie tajnym, jeszcze inne omijając. Wtedy dopiero podejmował decyzję, kiedy pewien był słuszności przedsięwzięcia. Ze była to taktyka słuszną niech świadczy dwa wydarzenia. Sejm 1548 r. nie pozwolił na wykonywanie królewskiej jurysdykcji, co zostało skrzętnie wykorzystane przez licznych warcholów jako pretekst do uchylania się od sądów. Jeden z nich, Stanisław Stadnicki pozwolił sobie nawet przy okazji na publiczne oświadczenie, że sądy nie mają się odbywać, ponieważ została zawieszona egzekucja praw koronnych. Król odpowiedział na prowokację literą prawa i pozwał Stadnickiego przed sąd o obrazę majestatu, wyznaczając termin na 15 lipca 1549 r. Fakt ten wywołał falę protestów, wielu „współbraci” wybierało się nawet do Krakowa, aby „z mieczem i zbroją” wesprzeć Stadnickiego. Zanosilo się na poważne rozruchy. W tej sytuacji król w ostatniej chwili odroczył rozprawę i wyznaczyl ją na 2 sierpnia do Niepolomic. Manewr był zręczny. Odroczenie spowodowało spadek buntowniczych nastrojów.

...W czasie kiedy krystalizowała się osobowość polityczna Zygmunta Augusta, 8 maja 1551 r. zmarła po długiej chorobie ukochana Barbara. Odtąd aż do śmierci będzie chodził w żałobie, a nawet w testamentie wspomni August o tej małżonce. Na pierwszym miejscu będzie teraz stał cel polityczny, które miały uporządkować sprawę wewnętrzne państwa i powiększyć jego potęgę. W celu ich realizacji nie zawahał się nawet odejść od tradycyjnego sojuszu władcy z senatem, aby ubrany w kubrak „z waszczią” stać się przywódcą większości sejmowej. A problemów do rozwiązania było niemało. „Zajmują i pochłaniają króla — pisał w tym czasie poseł cesarski — następujące sprawy: 1) unia, 2) wojna z Moskwą, 3) Inflanty, 4) Tatarzy na pograniczu, 5) Turcy w Wołoszy, 6) rozdwojenie religijne, 7) odzyskanie dóbr skarbowych, 8) sukcesja tronu”. Wiemy, że się z nimi przez szereg lat następnych król borykał. Bystrość jego myśli politycznej i wojskowej przejawiała się zwłaszcza w dążeniu do utworzenia floty morskiej i regularnej armii. Upór królewski przejawiał się przede wszystkim w dążeniu do instytucjonalnego połączenia unii dwu narodów, nad którymi panował. Osiągnął sukces. Unia zawarta 28 czerwca 1569 r. w Lublinie wieńczyła dzieło ostatniego Jagiellona i jego przodków. Państwo zrosło się „w nierozdzielne ciało, które się z dwu narodów i państw w jeden lud i państwo zniósł i spoliło”. Doniosłość tego wydarzenia dla dalszych losów państwowości polskiej trudno nie doceniać. W Lublinie powstało państwo, które przez następcę stulecie będzie odgrywało pierwszoplanową rolę w polityce europejskiej, a przetrwało ono przecież ponad 200 lat, zlikwidowane dopiero przez rozbiorcy.

...Chętnie udzielał król poparcia ludziom piórami. Spod jego przecież opieki „rozwinął skrzydła” Jan Kochanowski, Lukasz Górnicki, Marcin Kromer, Andrzej F. Modrzewski, Marcin Bielski, Jan Zamojski to tylko niektóre najtęższe umysły epoki związane z dworem i osobą króla.

...Kontakty nawiązywały się do śmierci królowej Elżbiety, która zmarła 15 czerwca 1545 r. „Przeto król August — czytamy we współczesnej kronice litewskiej — gdy pochował ciało małżonki swej, jako pan młody i nie mogący powstrzymać przyrodzonego popędu do białychgłowy zaczął kochać panią Barbarę Radziwiłłównę... A bracia jej prosili, aby zaprzestali tego i nie chodził do ich siostry i domowi ich takiej niesławie nie wyrażał. Król obiecał im, że chodzić nie będzie i nie chodził przez czas dłuższy. Potem krewkości przyrodzonej dłużej zdzierzać nie mógł i poszedł do niej nocą samotnie. A panowie Radziwiłłowie pilnie tego strzeżli i gdy król do ich siostry wszedł, oni natychmiast zjawili się przed nim i rzekli: „Miłościwy królu! przyrzekłeś do siostry naszej nie przychodzić, przez więc teraz tu jesteś?” A król na to: „A kto wie, czy obecne przyście moje do siostry waszej nie przyniesie wam wspomnienie sławy, czci i pożytków waszych”. Oni rzekli: „Boże to daj!” — i natychmiast przyzwali plebana, który był na to przygotowany, i zaślubił króla z swą siostrą w tajemnicy, tak że nikt ani z panów rady, duchownych i świeckich, ani też z dworu królewskiego o tym nie wiedział, z wyjątkiem Radziwiłłów, Kieżgalla i księdza, który ślub dawał. I król wzięwszy z nią ślub, taił się z tym niemalą czas”.

...Jeszcze wynowniejszy świadczy o taktyce królewskiej inne zdarzenie z przebiegu sejm Piotrkowskiego w 1548 r. Na jednej z sesji „wszyscy posłowie koronni i którzy tylko nateczasz przy tym byli panią zaraz poklekali, wiele ich oczy swe z lez ocierając, jawnie zaś serdecznie wyznając, na kolana przed królem upadli i błagali go, aby odstąpił raczył nieszczęsnego małżeństwa (z Barbarą)”. Jak król mógł postąpić? Przyczynienie się do prosby posłów oznaczałoby jego klęskę, a przeciwstawienie się też nie było bezpieczne, gdyż łatwo mogło spowodować, iż czolgajacy się i lamentujący mogli zerwać nie i szablami zakłócić sejm. W tej sytuacji król okazał wielkie wstrzymanie i oznajmił, że zastanowi się powatnie nad sprawą, a odpowiedź da nazajutrz. Następnie

...W realizacji projektów unijnych włożył Zygmunt August sporo energii. Włożył przede wszystkim dlatego, iż nie miał dziedzica. Myśl o następcy tronu trapiła króla od lat. Zadała z trzech jego żon nie dala mu syna. W dążeniu do męskiego potomstwa przypomniał Zygmunt August króla angielskiego Henryka VIII. Analogię widzieli już współcześni. „Prosiem króla — pisał do Rzymu o królewskich zamiarach rozvodu z ostatnią żoną Katarzyną nuncjusz Commendone — aby wspomnił Henryka VIII, podjętego, odmłane obyczajnie niezobowiązania, coraz to nowe bezwzględne śluby królewskim toporem zrywane. I jakiego doczekał się król angielski potomstwa”. Nie nie było jednak w stanie odciągnąć Zygmunta od powziętego zamiaru. W ostatnich latach życia miał się

...Chlubnie zapisał się Zygmunt August w historii języka polskiego. Był jego wielkim protektorem, poza tym znakomitym epistolografem. Jego listy do Barbary osiągnęły wyżyny sztuki. Cenila go szlachta, że w czasie obrad sejmowych „wysławiał się w mowie ojczystej”. Do mówienia po polsku zmuszał król także innych. Warto przytoczyć tutaj zdarzenie z r. 1568, kiedy to posłowie Gdańska, przybywszy na rokowania, prosili, aby było im wolno mówić po niemiecku, gdyż nie znają łaciny. Odpowiedź była krótka: „Jeśli nie rozumiecie po łacinie, tedy po polsku mówcie”. Poetycką syntezę tych poczynań królewskich dał Stanisław Wyspiański, który w dramacie „Zygmunt August” włożył w jego usta piękną inwokację do mowy polskiej:

O mowa polska, ty zieme rodzime, Niechże cię przyjmie w otwarte ramiona. Ty będziesz kwieciem tych pól ubarwiona, Ty osłoda żywiczna lasów, Ty zbożnym kłosem na roli, Ty utęsknieniem wszystkich czasów, Pojmująca, czująca co boli.

...Relacja ta traci natłoczenia, ale o zaślubinach potajemnych w lecie 1547 r. piszą i inni współcześni. Był to fakt trudny do ukrycia i wkrótce

WIEC to było przeszło dwadzieścia lat temu? Nie inaczej, skoro za życia Księdz. I nawet w jego mieszkaniu. Nie pamiętam już w jakiej sprawie odbyło się to posiedzenie Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich, a tym bardziej — czym była usprawiedliwiona moja na nim obecność. Nie byłem przecież członkiem Zarządu. Pamiętam tylko porę roku: późna, bardzo późna jesień. I także pora dnia. Zawiadomiony przez kogoś o zawieszonym sobie mojej osoby przez grono starszych kolegów siedziałem dość słabo zorientowany w przedmiocie obrad, zniechęcony i zmartwiał. W pewnym momencie za sprawą gospodarza pojawiła się na stole karkafka. Wtedy już wpadłem acz w starannie zamaskowany, to jednak gruntuwny popłoch: jest późny wieczór, w ciągu dnia zdążyłem zjeść tylko śniadanie, czuję zimno i czczość, alkohol znokautuje mnie natychmiast. Byłbym jednak jedyny w gronie odmawiając, a na to za dużo miałem nieśmiałości. I ta się okazała zbawienna. Nalewka księdza Ludwika Zalewskiego wspaniałą hiperbolą wróciła mi cały zamglony przez jester jaśny stosunek do świata. Z czego ja komponowałem wybitny bibliofil, posiadacz tomów, o których nawet u Estreicha cicho? Z eks-

Ksiądz Ludwik

...traktu najprzedniejszych strof? Z nastrojów kontemplacji nad mądrością ksiąg dawno napisanych? Musiała być niezła ta jedyna lampka, skoro na niewielkiej zresztą karcie mojej znajomości Księdz znalazła się tak pamiętnym inicjałem. Dopiero kilka lat później poznałem fraszkę Czechowicza jakże przecie potwierdzającą moje doznanie: „Kto nam otwiera dusze choć bez korkociaga? Kto nas ksiąg wieślowiecznych raduje widokiem? Kto wino z kredensiku dla gości trząca? Kto nie częstował nigdy malinowym sokiem? Kto trzyma cną kompanię na barkach i głowia? Kto o porze północnej smutki z nas wypedza? Myślę, że grono całe, jak jeden nóż powie: W górę księdza!”

...Doktor filozofii, autor rozprawy „Sztuka rymotwórcza Franciszka Ksawerego Dmochowskiego”, posiadacz Złotego Wawrzynu Polskiej Akademii Literatury, członek Komisji Historii Oświaty Polskiej Akademii Umiejętności, kawaler Orderu Białego Kręka. Można wymienić znacznie więcej tytułów i zaszczytów, a jeśliby chodziło o specjalnie lubelskie, rejestr musiałby się zamienić w

...wyciąg z bio-bibliografii. Przecie nie to stanowiło o pozycji księdza Ludwika Zalewskiego w lubelskim świecie kulturalnym. Był zawsze czynny, zawsze podatny na nowe zjawiska w dziedzinie myśli, twórczości, poezji — nie koniecznie te, które leżały na obszarze aprobaty ówczesnej hierarchii kościelnej. Przecie do dziś o antologii poezji lubelskiej okresu międzywojennego nie mówi się inaczej, niż „antologia księdza Zalewskiego”. Był jej redaktorem, autorem not, a przede wszystkim głównym spiritem movens samej inicjatywy.

...Lubił ma parę nazwisk, z którymi nie sposób nie łączyć świadomości o faktach z dziedziny kultury, jeśli te mają się składać na zyciorys miasta. W rozmiarze i wymiarze naszej sytuacji. Nie pretendujemy do funkcji koryfejskiej, nie przyznajemy sobie osiągnięć wykraczających poza możliwości, nie wyolbrzymiamy znaczenia dokonania, to świadczyłoby jedynie o deformowaniu obrazu rzeczywistości. Ale też całkiem postronni obserwatorzy przyznają nam istnienie atmosfery specjalną aurą otaczającej wszystko, co się łączy z działalnością intelektualną



...chani” spędzali niejedną chwilę nad przyswojeniem ich treści lubelskiej kulturze.

...Nie, nie pisał wierszy. W jego postawie wobec zagadnień kultury nie było tej cechy „autorskiej”, bezpośrednio kreatywnej. Ale skoro w hierarchii kościelnej posiadał pozycję infulata, to „proszczęm lubelskiej parafii poetyckiej” był na pewno. Poezja, umiłowanie piękna było mu drugą religią. Z przychylną uwagą odnosił się do przykładów sportykane na gruncie lubelskim pisarstwa. Jakoś zyskiwało się spokojną pewnością o powodzenie pisarskiej inicjatywy, jeżeli znalazła się w obrębie znajomości Księdz i otrzymała jego aprobatę. To nazwisko było synonimem pomyślnego współdziałania w interesie zbiorowym, a także dla rozwoju utalentowanych indywidualności. Miało też coś z probierza kwalifikacji.

...Kiedy to piszę, sam nie daję wiary, że Księdza już nie ma. Przecieć od samego momentu Jego śmierci dzieli nas dystans pokolenia. Ale te dwadzieścia lat, to nawet prawie nie okazja rocznicowa. Nie można o Nim myśleć, jako o niezycym, jak nie mogą nie istnieć umiłowanie piękna, chęć pracy i tworzenia, życiowość dla człowieka, które swym życiem tak wyraźnie zafirmował.

Zygmunt Mikulski

JAKO kilkunastoletni chłopiec wychował wraz z rodzicami do USA. Zgodnie z życzeniem ojca powrócił do Polski, aby rozpocząć studia w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Był wówczas człowiekiem na progu dojrzałości — urodził się w 1895 roku — lecz pewnym swoich racji twórczych, indywidualnością trudną do okiełznania. Jak sam wspominał po latach, w Akademii właściwie nie studiował, lecz pracował w opozycji do profesorów. Biografowie, a właściwie autorzy kilkunastowiecznych informacji w zbiorowych opracowaniach historii sztuki polskiej, twierdzą, że był uczniem Konstantego Laszczki, twórcy rzeźb rodzajowych, religijnych i portretowych, zmarłego w 1956 r. Studia Stanisława Szukalskiego w pracowni profesora polegały jednak głównie na ciągłych kłótniach ucznia z mistrzem; pierwszy nie dopuszczał nawet do korygowania swych prac, zastanawiał je demonstrować na widok nauczyciela. Okazał się artystą utalentowanym, znakomicie panującym nad rzeźbiarstwem, pod względem ideowym — bliskim krewnym modernizmu, który w tym latach należał już do przeszłości, tyle że jeszcze słyszalnej.

mi Młodej Polski, gdzie to chłop potęga jest i bawia.
Do „Szczepu” należeli głównie rysownicy, zresztą i Szukalski był interesującym rysownikiem, z jednym z nich — z Marianem Konarskim zamieszkałym w Krzeszowicach pod Krakowem — artysta do dziś utrzymuje korespondencję.

Obecnie Stanisław Szukalski mieszka w Kalifornii; po raz ostatni — według posiadanych informacji, u dostępnionych przez panią Zofię



Stanisław Szukalski

Baranowicz z Instytutu Sztuki PAN w Warszawie — przebywał w Polsce po roku 1956. Kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej przyjechał do kraju z zamiarem stałego zamieszkania, pracując głównie na Śląsku. W momencie wybuchu wojny, jako obywatel amerykański, opuścił Polskę.

Jak dotąd Szukalski nie doczekał się monografii, opracowania dotyczące „Szczepu Rogate Serca” nie wyczerpują sprawy tego artysty, którego barwna postać warta jest bliższej uwagi, a twórczość i poglądy — pełniejszego naświetlenia choćby ze względu na ich odrębny charakter. Nie powinna stać temu na przeszkodzie ugruntuwana opinia, że „Szkoła Szukalskiego była tylko epizodem i nie miała większego znaczenia dla dalszych dzieł polskiego malarstwa”. Być może, ale to nie powinno prowadzić do zapomnienia o artyście, którego sytuacja psychologiczna jest w tym wymownym przybliżeniu do sytuacji współczesnej świadomości artystycznej; niejasnej, zagmatwanej ideowo, żywej wszystkimi możliwymi źródłami sztuki, odmiennymi tradycjami.

Postać Szukalskiego powinna zainteresować też przyszłego autora monografii o Kazimierzu nad Wisłą, tej międzywojennej Mekki polskiego malarstwa. Szukalski przebywał w Kazimierzu, miał tam własny dom, przynajmniej korespondencyjnie nie tracił kontaktu z miastem, nawet wówczas, kiedy przebywał za granicą. Świadczą o tym listy pisane z Paryża, najprawdopodobniej w roku 1924 lub 1925 — fakt wymagający precyzyjniejszego ustalenia — do księdza Stanisława Szepletowskiego, mieszkającego w Kazimierzu w latach 1921—1928. Był to przyjaciel malarzy w najbardziej dostojnym tego słowa znaczeniu, żył w niejednym z nich, brał udział w ich towarzyskich spotkaniach,

pomagał jak mógł. Artysty szanowali księdza, znali go i trwali miejsce w pamięci wielu ludzi, z sympatią wspomina go w swoich „Spotkaniach z Kazimierzem” nieżyjący już poeta, Konrad Bielski, sporo ciepłych słów poświęcił mu W. Baranowicz w „Budzie na Powiślu”, związanej z warszawską Akademią Sztuk Pięknych.

Obecnie Stanisław Szepletowski, kanonik, mieszka w Soczebryzynie na Lubelszczyźnie — w parterowej plebanii otoczonej ogrodem astrów, róż i lilii. Niski, szczupły, postawiony, o twarzy naderzołowej i matrym, uśmiechem człowieka, który nie stracił wiary w dobro, mimo że historia nie szczędziła mu różnych doświadczeń, rzucając z miejsca na miejsce, z sytuacji w sytuację. Urodził się 23 lipca 1888 r. w miejscowości Witali na Białostocczyźnie, gimnazjum kończył w Lemży, następnie uczęszczał do seminarium duchownego w Lublinie. Tu też zetknął się po raz pierwszy ze sztuką wyjątkowo świętą, lecz tylko częściowo dostępną oku widza. W Zamku znajdowało się wówczas

W ruinach zamkowych odbywały się zresztą zabawy malarzki, w których Stanisław Szepletowski chętnie uczestniczył. Namówił ludzi zamkniętych do wykupienia zabytкового domu, w podziemiu wspomniany kamienicy, który poddano później zabiegom restauracyjnym; na murze tej budowli znajduje się do dziś tablica z dowcipnym ad memoriam, zawierająca nazwiska inicjatorów sprawy.

Pozostały z tych lat księdzu Szepletowskiemu wspomnienia przyjacieli z Tadeuszem Pruszkowskim, Janem Wydrą — „schorowany był, biedny” — Antonim Michalakiem, Janem Zamoyńskim, malarzem, z artystami lubelskimi, m.in. z Władysławem Filipiakiem. W jego mieszkaniu wiszą obrazy z kazimierskimi motywami — podarunki malarzy St. Czajkowskiego, S. Bagleńskiego, J. Wydry... Nie posiada już jednak księdz Szepletowski owego statutu Towarzystwa, ponieważ niedawno podarował go reaktywowanemu Towarzystwu Przyjaciół Kazimierza;

„teracem, jak przyjaciel marmotawny. Chciałbym się wyłuszczyć z mojej opieszalności to piasek, lecz mimo płańdnej imaginacji nie mogę wymyślić wymówki, chyba że że raz mnie potęcał i to z lewej ręki. Mimo to — prawda? — mam się ksiobie i z księdza strony przynajmniej nie uszyję bury.

Przez czas naszej „dalekości” ja wiele jeździłem, jadłem, piłem, za kobitkami nie gonilem, bo mam strasznie miłą... Ze śmiejących przydłków miałem te dwa, i to marne. Jeden był, że jakiś Żyd podał mi zjedzoną wystawę Międzynarodowej Współczesnej Sztuki Dekoracyjnej i Przemysłowej w 1925 r.] ca-

„Całe życie szukam przyjaciela”

Ireneusz J. Kamiński

więzieniu, którego kapłanem był wikarek seminarium i z tej to właśnie okazji młody ksiądz Szepletowski często odwiedzał przybytek, organizując w końcu chór złożony z więźniów. Śpiewał ten chór podczas nabożeństw w kaplicy zamkowej św. Trójcy, której ścianę pokrywał tynk; tylko nieliczne najeżyła ozdabiała freski mistrza Andrzeja i innych malarzy. Kto wie, może właśnie wtedy ksiądz Szepletowski po raz pierwszy sprawdził swoje zainteresowanie tradycją artystyczną, które w późniejszych latach miały przynieść sporo dobrego dla Kazimierza, dla artystów ścigających do miasteczka.

Był typem rzetelnego społecznika, obywatela, posiadał zresztą dokumentację tej postawy, m.in. rozkaz pułkowy z podziękowaniem za pracę wychowawczą, podpisany przez M. Zymirskiego, wówczas pułkownika. Działal w Kazimierzu z pozycji człowieka zatrudnionego w zabytkowym miasteczku, różnymi drogami zmierzając do ich uratowania. Założył m.in. Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza, opracowując jego statut, a jako członków współpracujących przyjął wszystkich, którzy mieli wpływ i pieniądze: bankierów, sędziów (popularnego w środowisku artystycznym Lublina Skotnickiego), wojewodę, kupców. Przydała się też znajomość z prezydentem Województwa, dobre wyniki przyniosła bliska współpraca z inż. Jerzym Siennickim, pełniącym funkcję konserwatora wojewódzkiego.

Chrzął ksiądz Szepletowski nad pracami konserwatorskimi kamienicy Celejowskiej, przy których zatrudniony był rzeźbiarz Łopuszański, jednoręczny, wielki podobno oryginał, a także malarz Gil, świetny fachowiec, wzmacniający następnie resztki zamku i basztę.

przyjęto zresztą „Opata” w skład jego członków na honorowych pracach.

Znajomość ze Stanisławem Szukalskim, zainicjowana w Kazimierzu, znalazła swoje przedłużenie i odbicie w korespondencji artysty, z której zachowało się kilka zaledwie listów, pisanych z Paryża. Pisane sępią, zaopatrzone rysunkowymi ozdobnikami, o charakterze trudnym do zapomnienia i przypominającym bodaj hieroglify egipskie, może znaki hebrajskie, przedstawiają stosunek artysty do przyjaciela, w ogóle do przyjaźni, rozumienie sensu sztuki przez autora „Cecory”. Interesujące jest widzenie spraw polskich przez człowieka przebywającego w środowisku, którego nie darzy miłością, lecz z którego jakoś nie rezygnuje w przekonaniu, że francuska „marka” na jego biografii otworzy mu drogę do uznania w kraju — jakie to aktualne! W przytoczonych fragmentach zmieniono tylko interpunkcję — Szukalski stosował całkiem osobliwe zasady i — uwspółcześniono pisownię. Rzeźbiarz tytułuje Szepletowskiego Opatem, jak wszyscy inni artyści, przebywający niegdys w Kazimierzu, choć duchowny nie był zakonnikiem, tyle że mieszkał w klasztorze.

pytał mnie, czy jestem panem Mielnikowem za co go nie okaleczyłem, mając wtedy na myśli, że moja matka jest chrześcijanką, więc i ja powinienem zachowywać się jako towarzysz farskiej kuchni, a nie jak ludożerca. Drugi przypadek był, że jakiś przyucipca czy też niepełniformowana niewiasta zapytała się mnie, czy ja jestem synem tego rzeźbiarza Szukalskiego. Więc jak widzi ksiądz, nie wzięcej przejmując [to] i oddech wstrzymując od przycięć w Kazimierzu na ulicy Smejtarskiej. Prawda?

Myśli moje tyle razy już spędziły „fajrantowe” chwile w Kazimierzu. „Strasznie bym już tam chciał być i podprowadzić mój dom do mieszkalności — poza tym widzieć naszą okolicę i miasto latem, gdyż dotąd tylko zimą i wczesną wiosną widziałem.

Przez jakiś czas muszę popracować tutaj, gdyż bardzo mało rzeźbiłem w ostatnich trzech latach. Teraz na wsi pobędziemy tak, ażby bez przerwy i magazynów modniarskich można było coś dziłać dla swego rozwoju. Moja dziewczyna bardzo dobrze rysuje, więc mamy wiele wspólnego w zainteresowaniu się pokrewnymi dziedzinami. Ja zaś muszę dojść do „starej”, to znaczy,

Żenić się po raz siódmy

Dokończenie ze str. 1

Znalazłam się w zespole przypadkowo, przysłałam towarzyszyć swojej koleżance na próbie, i tak zostałam, rok już minął. Praca się rozwija, to wciąga. Nie mam czasu na chłopaka. Po maturze? Jestem za słaba na szkolnictwo artystyczne, choć po cichu o tym myślę.” (Anna-Maria).

„Kolega mnie przyprowadził do zespołu. Kolegę potem Jurek zwolnił za opuszczenie prób. Po dwu tygodniach bardzo mi się tu zaczęło podobać, choć z początku nie byłam sprawna ruchowo, po miesiącu zaczęło mi wychodzić. Dostałam świra na punkcie tej roboty i koniec. Co do studiów — nie mam jeszcze planów sprecyzowanych, chyba na teatralną bym poszła.” (Elżbieta).

„To są świetne dziewczyny, potrzeba im tylko dojrzałości psychicznej.” (Leszczyński).

„Kolega szedł na próbę i zabrał mnie z sobą. Jurek kazał się wszystkim rozbiierać, więc ze strachu i ja się rozbrałam. Moje sprawności ruchowe z początku były takie, żeby chodzić po ziemi. Potem było dużo, bardzo dużo roboty. To, co robimy w zespole, rzutuje na nasze życie prywatne — nauczyłam się pracować. Długo wioły? Co oni wszyscy z tymi włosami! Ano mam, bo teraz wakacje. Pójdę do szkoły — zetną, dyrektor jest nieugięty. Któryś kolega powiedział: obcinam włosy, bo chcę zaliczyć matkę. O co chodzi, o włosy tylko? Co po maturze? Idę na polonistykę.” (Ryszard).

„Każdy, kto przychodzi do mojego zespołu, i zresztą każdy w ogóle przeciętny człowiek jest chory ruchowo — powiada Leszczyński. — Pierwszy etap to niejako gimnastyka terapeutyczna, czyli wywalenie potocznych nawyków ruchowych. I to właściwie początek treningu aktorskiego. Najlepiej się sprawdzają ludzie bardzo młodzi i najłatwiej ich czegoś nauczyć, choć mam też w zespole dwudziestokilkulatków...”

Sam Leszczyński zaczynał swoją przygodę pantomimiczną również jako bardzo młody chłopak — w studenckim teatrze pantomimy „Gest” we Wrocławiu, który zresztą dotąd istnieje. „Tomaszewski chodził na premiery „Gestu” i wziął mnie z kolegą do swojego teatru jako adepta — powiada Leszczyński. — Tomaszewski mógł z tobą zrobić, co chciał. Katowia. Ale tam nauczono mnie pracować, nieustający trening mimiczny, najwyższa sprawność ruchowa i tak dalej. Blisko trzy lata. Zawsze jednak mnie interesowała własna sprawa, i kiedyś, będąc przypadkiem na chatach w Jaszowcu, skorzystałem z propozycji puławskich „Azotów”, żeby założyć zespół w ich przyzakładowym klubie...”

Historia nienaturalna zespołu, a właściwie zespołów Leszczyńskiego na Lubelszczyźnie nie jest dla mnie tutaj najważniejszą sprawą, aczkolwiek warto jej pewne momenty przytoczyć — tak jak je zrelacjonował Leszczyński — gdyż jest dość charakterystyczna.

„Po tygodniu wylecieliśmy z „Azotów”, ponieważ ktoś zobaczył, że chłopcy ćwiczą rozebrani do pasa. Na szczęście zainteresował się nami puławski PDK i tam znów zaczęliśmy, początkowo pracowałem społecznie, później na etacie instruktora PDK za 800 zł mie-

sięcznie. Po pół roku na jakiejś uroczystej akademii zdarzyło się nieszczęście — po prostu w czasie występów obsunęły mi się rajstopy. Wpadł za kulisy działacz i krzyknął: co wy góle siedzenia na uroczystą okazję wynajmie! To mógł być koniec. Szczęściem akurat przyjechał NIK, zbadali sprawę i zostawili zalecenia, żeby zespół utrzymać i dotować. Zaczęło być na krótko lepiej. Na 1 Maja ostryżliśmy się króciutko i tak poszliśmy w pochodzie całym zespołem. Więc jakby koniec kłopotów. Zaczęły się jednak znowu problemy finansowe. Zresztą opinia publiczna cały czas była przeciwko nam, baby pod rzeźnikiem walły nas siatkami z mięsem, często musiałem mieszkać w szopach. Po występie zespołu w TV w programie „My 69” nadarzyła się okazja przeniesienia do Lublina — perspektywa współpracy z Teatrem im. Osterwy i możliwość zaczepienia się przy lubelskim MDK, tak — MDK. Do dzisiaj współpracuję z Teatrem, choć z puławskiego zespołu nie został prawie nikt i musialem ludzi od początku szkolić. Zresztą w Lublinie zdarza mi się to nie po raz pierwszy. Bo po roku omowa z MDK wygasła i znowu zacząłem pantomimę za darmo. Cały rok ćwiczyliśmy pokątnie na Zamku, już wtedy opuszczonym, brudnym i zimnym — ludzie mi uciekali, działał z czasów MDK zostały tylko trzy osoby. Trzeba nam jedynie sali, magnetofonu i raz na rok finansowania obozu kondycyjnego. Skończyło się, jak na razie, dobrze, bowiem od 1 kwietnia tego roku sprawuje nad nami opiekę Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie. Dostaliśmy salę, trochę sprzętu, a ja 1500 zł miesięcznie jako instruktor godzinowy...”

Dziś już nikogo z ludzi rozsądnych i kompetentnych nie trzeba przekonywać, że ze-



„Wszyscy chcą Leszczyńskiego, wszyscy mają jasność w tej materii, a reszta nadal na martwym punkcie.”
Fot. J. MARIANO

ze Francuzi muszą powiedzieć polskim kulturalistom i tym, co mają wpływ lub „możliwość”, że „ten waz niebiar jest dobry”. I tak jak „Chłopi” Reymonta po otrzymaniu nagr. Nobla zrobili wielki halas dla „Niego”, mimo że była to rzecz napisana w Polsce wiele lat temu [...]

Ale przede wszystkim niech książd nie ucieka od Kazimierza, gdyż jest książd Piertoczym Obywatelem Kazimierza. Niedługo nie będzie tak nudno tam i będzie milej. Będziemy się zjeżdżali i radzili i klepali. Niech mi książd przysyła fotografie, jakie są, z Kazimierza, a ja będę [robił z nich?] sztychy. Może jest jaka monografika Kazimierza?

Kolega Goliński miał zamiar zażyć z kolegami z politechniki — po skończeniu jej — organizację przedsięwzięcia dla wypalania wapna w Kazimierzu i splanowania [go] do Warszawy. Może się już znać. [...]

Piszcie, kochany książd Opatcie. Ja zaś, jak raz zaczęto, to nie przesianę pisać. Poznany się bliżej, a warto. Ja jeżeli nazywam profesjonalnego chrześcijanina, tj. książd jakiegokolwiek obrzędku, „kochany”, to już samo w sobie znaczy, że mam szacunek dla niego — a to jest wprost przeciwnie z moim psychicznym ustrojem. Szanuję w książdzu przede wszystkim szlachetność i czystą subtelność, które [to] cechy się przejawiają w idealnym Obywatelu — jeżeli się w ogóle kiedy spotyka. Zaś żadna „profesja” nie gwarantuje i dotrzymuje tych zalet dojrzałego człowieka — Obywatela.

Kłaniam się szczerze i czekam piama obszernego. Zawście Stanisław przyjaciel (jeżeli można).

tym dalej odpływa ode mnie — wynaradawiam się, zostaję obcym, zaś podłość i upadek etyczny narodu wtłacza mi nienawiść do gardła i wściekłość za paznokcie. Tylko między obcymi moja polskość wychodzi z lochu, gdyż między obcymi wolno mi być sam na sam z moją Polską... nie dziw się przyjacielu, że się rozpisuję — tak zawsze piszę listy — są one rozmową z samym sobą w obliczu przyjaciela. Wszak nikt tak mnie dobrze i z namaszczaniem nie słucha, jak ja sam. Dlatego moja korespondencja zawsze jest „hukaniem” filozoficznym głuszcą, unoszącego się swoimi uczuciami. [...]

...co do rozmów, o których Opat pisze, to przyjdzie sposobność. Nie doznałem zawodu — nie znalazłem bigota, lecz obywatela wolnego... prawdopodobnie przyjadę na jaki tydzień do Kazimierza, może niedługo.

Barzo się cieszę, że ście mnie włączyli na listę przyjaciół Kazimierza i dziękuję. Przy miłośności chciałbym się w jakiś sposób przysłużyć miastu — jeżeli kiedyś uznacie moją pracę za godną, to barzo bym pragnął wyrzeźbić Kazimierza Wielkiego dla miastu. Chciałbym, żebyście mogli wykupić spichrz od Żydów i chłopów, a ja przy pierwszej możliwości bym wykupił od Towarzystwa Przyjaciół Kazimierza i zrobił pracownię ze szkół dla rzeźby... Muszę za granicami się tłuc, aby zarobić na imię, które dla Polski znaczy coś, jeśli jest zrobione we Francji. [...] Pięknienie dziękuję za fotografię, będę oczekiwał Michałaka.

Bądźcie wszyscy zdrowi i w dobrym humorze, oddany Stach Szukalski.



Ks. Stanisław Szpietowski

23 kwietnia
Drogi Opatcie i Przyjacielu.

[...] Chciałbym jak najprędzej móc przyjechać do Kazimierza, lecz sam sobie nie jestem w stanie powiedzieć, kiedy będę mógł. Jeszcze pracuję nad ostatnią rzeźbą, która mi jeszcze dużo tygodni zajmie. Nie chciałbym tej pracy skończenia odkładać na dłuższą, gdyż już przy niej siedzę rok. Przy tym miałem tyle ciągłych przerw, że mimo przyjemności, którą znajduję w mojej profesji, to jednak czuję się jakby przywiązany do tej rzeźby za nogę.

Pięć kótek z papierosa

KIEDY te słowa dojdą do czytelnika, będzie już po olimpiadzie. Dariusze jednak starem kibicowi, którzy się musi wygadać na temat obecnie jeden z najaktualniejszych. Kibic jest stary, więc skłama tego wspomnienia sięgnie dalekiej przeszłości, ale przecież tym lepsiej sport jest ideą pryncipi odwieczną. Jak poezja, jak matura, jak pismiarz.

Olimpiadę w telewizji poprzedził program zetytuowany „Maraton”. Barzo dobry. Miłośnicy ciękawy przegląd tej konkurencji w przekroju wszystkich bez mała olimpiad nowożytnych. Co do jednego tylko nie można się zgodzić z Bohdanem Tomaszewskim, który w programie zaprezentował własny i czytany przez siebie tekst: uporczywe nazywanie olimpiady berlińskiej 1936 hitlerowską. Jak to zrozumieć? Ze kilkadziesiąt krajów i kilka tysięcy uczestników (zawodnicy plus widzowie) — nie wszyscy przecież hitlerowcy — dali się zaangażować do imprezy propagującej idee narodowego socjalizmu? Przecież Owens wygrał swoje 100 m, 200 m i skok w dal, Johnson swój skok wzwyż, Williams swoje 200 m, a Woodruff swoje 800 m — wbrew nazistowskim teorom ogłoszonym w państwie będącym gospodarzem olimpiady. A nie zapominajmy, że coś tam przygodo także Walasiewiczowi, Wajsbornowi i Kwiatkowskiej. Prawda, że wszystko, co niemieckie, było po roku 1932 hitlerowskie. Ale olimpiada nie jest ani niemiecka, ani kanadyjska, ani portugalska. Jeżeli otrzymał medale do Maroka, to nie znaczy, że znalazł się w jakimś związku z sprawą zamachu na króla.

Podobnie czy znacznie bardziej oryginalną teorię lansuje Stefan Sieniarski w 34 numerze „Kultury”. Pomiędzy już rozważania geometryczne, z których wynika, że medal olimpijski ma 3 strony, skoro... jako ciało materialne posiada 3 wymiary. Autor osobliwie widzi stosunki przestrzenne tego przedmiotu: „trzy strony są ze złota, a w środku mamy metal o wale tarczy”. Jest to nowa postać geometrii. Według niej bryła da się zamknąć trzema płaszczyznami. Pomiędzy również, że mówiąc o medali olimpijskim Sieniarski ma na myśli wyliczenie, natomiast srebrny i brązowy są wolne od zarzutu posiadania jakiegś obciążającego przymieszki. Nie koniec zresztą. Przysnajac, że „trzy strony” są ze złota i mając pretensję tylko do tego, co znajduje się „w środku” Sieniarski swój artykuł tytułuje „Trzecia strona olimpijskiego medalu”. Ale na całego nakontuje Sieniarski dopiero cytując za dziennikarzem szwed-

z kim samego Nurmięgo: „To wszystko bluff, nawet olimpijskie medale są sfalszowane”. Szwedzkiego nie znam, ewentualny przedruk w polskiej prasie również uzależnił mojej uwadze, ale stoją jak wryty. O co chodzi? Czy Passo Nurmi przebiegłszy 10 000 m w czasie 30 min, 15,3 sek., na olimpiadzie w Amsterdamie w roku 1928 zdobył sfalshowany srebro medal? Kto jest sprawcą tego fałszu... organizatorzy, czy zawodnik? Poza tym po co tyle krajów wysłało swe reprezentacje do Monachium — po to, by uczestniczyć w bluffie? Teo Sieniarski nie wyjaśnia, Sikoła. Po zaawaleniach na temat geometrii nieeuklidesowej z elekwością przeczytałbym także o sporcie.

Monachium oglądam w telewizji, Bernina stałałem przez radio. Co się łączy z intensywniejszym wrazeniem? Prawda, nie chciałbym o Kamigiezie, czy Borsosie tylko uszyścić, chciałbym zobaczyć. Na dobrą sprawę słowo wzięcia tu rozległąjść akwistę wyobraźniową niż obraz. Do obrazu niczego już nie mogę dodać, obraz konkretyzuje się przed oczami swym skończonym konturem eliminując jakikolwiek potrzebę wyobraźni. Tak, telewizja odbiera coś tam z urókwu przezję olimpijskich, przede wszystkim starem kibicowi, dla którego sport wciąż jeszcze rozgrywa się w kategorii pojęć ogólnych.

I któremu uwiąz jeździe nie chce się tolerować, że idea przyniesiona ze starożytności przez czciogodnego Piotra de Coubertina stała się przemyślam. Nie mówię tego ze zgrozą, czy potępieniem. O, nie. Nawet jeśli miałbym niejakię rekryminacje z racji zatraty amatorstwa, to przecież kompensuje ten fakt znaczne rozszerzenie możliwości wyczynowego sportu. Mimo wszystko barziej mnie elektryzuje 3,9 sek. osiągnięte na tartanie, z bloków, w warunkach sfalshowania — nawiąmy nawet — ludzkich stajni użytkowniczych, niż poczucie 12,8 sek. w spodenkach po kałana F. Burke z roku 1896. Współczesny sport jak współczesna nauka specjalizuje się i rozróżnia. Chyba do coraz rzadszych wyjątków będą należały medale zdobyte przez jednego i tego samego zawodnika w kilku konkurencjach. Mowa o lekkiej atletyce. Odchodzi epoka Nurmięch, Owensów i Zatopkówa.

Zresztą, po co bawić się w futurologię sportu. Zobaczymy, co będzie w roku 1976...

MIK

Francja
Drogi Przyjacielu,

Jestem pewien, że wolno mi tak Opat nazwać. List mnie nie zawiodł. Z początku myślałem, że moje heretyckie zacięcie zrazi go, mówięm sobie „no, szkoda, jednak wszystko będzie w porządku”, lecz już wszystko jest w porządku. Zapowiedzi szerszych i serdecznych listów jest zachęcająca. Teo pragnę. Całe życie szukam przyjaciela — znalazłem wielu kandydatów, lecz jeszcze go szukam. [...]

Ja mam w swoim charakterze szczęśliwość, mimo że miał drogę „pod wodę”, pod wiatr, pod kamienie. Zdołałem wyjść prosty i nie wypaczony, zdaje się, dzięki pracy i przyjaźni. Nie tak danej mi przyjaźni, jak temu, że mam zdolność do przyjaźni... [Przyjaciel], jest on dla mnie jakby posłannikiem z ziemi Ojczyzny, gdyż nawet w Polsce będąc czuję się jak gdyby Ojczyznę nie było. Polska to jest ta kraina z mojej głowy, wytwór mojej idealizującej myśli. Przyjaciel jest to typ człowieka mniej więcej idealny, a więc w tym znajduje się dobry obywatel, a więc w tym znajduję uboczenie Polaka. Jakkolwiek dobry obywatel, jakiegokolwiek narodowości jest dla mnie Polakiem zawsze. Szlachetny człowiek — obywatel jest moim współpatriotą, mimo że on może być nawet z narodowości przeciwniej Polsce. Polak zaś nieszlachetnego prowadzenia się obywatelskiego jest tak samo nienawidzony przez mnie, jak i podlego typu Niemiec, czy inny.

Polska dla mnie jest to kraina zagubiona, jakaś Atlantyda ukochana — im bliżej jestem kraju naszego,

Jednak ruc się, byśmy się widzieć mogli... Nie mógłbym na długo, gdyż usadziłyśmy się tutaj koło Paryża, zamierzając na nowo pracować bez przerwy dłuższy czas... Zeby nie moja żona, to bym dawno już osiadł w Kazimierzu i puścił Paryż kantem, gdyż nie on mi dać nie może, gdyż sam nie ma, z wyjątkiem szarlatanerii i europejskiej degeneracji. Co do muzeów i wszelkich kolekcji sztuki antycznych, to mam dość szroko już kulturę i znajomość tych. A ta mania ciągłego zwiędzania, ciągłego „studiowania” (jakież to soczyste słowo) jest tylko praktykowaną przez wszelkich nieuków, gamoni, eunuchów beztalentowych, którzy w ten sposób dolepiają sobie długie brody patriarsze, lecz nie mają do „pokazania”. Nie wierzę w przepychanie pieca paliwem, bo nie się palik nie będzie. Takie jeżdzenie do Paryża, dawanie stypendiów młodym artystom jest tyle korzystne, ileby było wysłanie gimnazjalisty do Afryki dla poznania „geografii” [...]

W Polsce ludzie są „tak zajęci” — każdy tam narzeka — tak, jak gdyby byli amerykańzowani, a przecież Amerykanie dużo piszą, mają więcej czasu na zabawę — a mimo tego niby „zajęci” biedę mamy. Brak inicjatywy, nie czasu. [...]

25 kwietnia
„Ciekaw jestem co Michałak czyni. Chciałbym, byśmy się poznali.

gdy mógłbym mu być pomocnym w jego pracy i rozwoju. Nie myślę tego na skutek przesadnej opinii o sobie jako artysty, lecz dlatego, że mogłem się uchronić od różnych wpływów modernistycznych, że sam się wyplegnowałem jako artysta, mimo wszelkich rad, pokus, zniechęceń... Mam dla niego dużo szacunku, na podstawie zaledwie paru ziarnek, lecz z tych wnioskowałem, że jest w nim samiec twórcy. Lecz nie wiem, czy on jako człowiek — zwierzę ma mądrości zaczątki — jest to radsze, aniżeli talent. Na przykład Dunikowski, raz wielki talent, a dzisiaj moneta, która z ręki znika.

Chciałbym doradzić na przykład najważniejszą wskazówkę, powinną każdemu pięknie zapowiadającemu się człowiekowi — artyście, który po zdobyciu ABC techniki obmyśla wiele lęklivych godzin nad sposobami, „drogami”, by nimi uchwylić w sidła chęci wyróżnienia się swoją osobista, „techniką”, swój styl. Otóż to jest ta sama droga, na której padło tyle tysięcy chętnych, lecz nie mądrych. Niebezpieczna droga, gdyż zaczyna się od drugiego końca. Oryginalność „tłumaczenia” formy, myśli, nastroju jest kością styłu. Lecz by być oryginalnym, nie jest zbyt trudno, wystarczy na przykład mieć mniej talentu, a większą dozę bezczelności, by „ważyć się” na to, czego faktycznie nie widzimy — myślimy — aby zwrócić uwagę. Przylepienie połowcy gotowanego

złotka na horyzoncie w obrazie zwróci uwagę siog oryginalną niezależnością — ale czy jest ten pomysł coś wart? Oryginalność jest najłatwiejszą zdobycją do schwywania i bez nawet błędnego wysiłku. Mówię tu o warcie oryginalności. By ją posiadać, wystarczy tylk o być sobą... W pogoni za Sobą piękny człowiek, będąc jeszcze młody, nie powinien szukać „dróg”, bo te go przeważnie przywodzą do „wpływow”. Powinien się ich bronić, gdyż są one tymi syrenami o miodowym głosie, co odwabiają od celu. [...]

... rozmazalem się, lecz na myśl, że może Opat będzie się widział z Michałakiem i mu te parę słów przeczyta. Nie obrazi się, gdyż mając talent potrafi słuchać, a to jest często więcej dowodem mądrości, aniżeli mówienie (powtarzanie po książce) mądrych słów.
Może mi Opat przysłać adres Witkiewicza! i zawsze jakieś nowe pocztówki i fotografie z Kazimierza i okolic. Piszcie, drogi Opatcie, i nie żałujcie atramentu. [...]

Stach z Kazimierza Wielkiego
PS autora publikacji: Będę zobowiązany, jeśli osoby znające St. Szukalskiego zechcą podzielić się ze mną informacjami na jego temat. Interesują mnie również sylwetki innych artystów, przebywających niedługo w Kazimierzu.

Ireneusz J. Kamiński

aczkolwiek sprawą niekonwencjonalną i z tej przyczyny rzadką. W Puławach pierwsze programy były oparte na konwencji czyste klasycznej pantomimy, a więc teatru ruchu imitacyjnego, naśladowczego, rządzącego się ścisłymi regułami. W Lublinie Leszczyński przeszedł na tzw. impresje ruchowe, którym brak spreczowanej, wykladanej linii fabularnej. Cała sprawa artystyczna wyklada się w sugerowaniu najogólniejszych wrażeń odbiorcy, które ten konkretyzuje w sposób indywidualny. Rekwizyt, scenografia — w stanie szcztakowym. Muzyka — nie jest bierną ilustracją, lecz metodą przedstawienia.

Myślę, że zespół ten zmierza w kierunku widowiska ruchowo-muzycznego, oczyszczonego z wszelkiej literackości, grającego jedynie wewnętrzną prawdą artystycznych układów ruchu ludzkiego ciała i falowania linii muzycznej. Myślę, więc jestem... za takim kierunkiem poszukiwań lubelskiego Studia Wizji i Ruchu. Bo na tle kilku zespołów pantomimicznych działających w Polsce, zespołów amatorskich i pół-profesjonalnych, sprawa, którą czyni Leszczyński, wydaje się rzadka, a już z pewnością unikalna na Lubelszczyźnie, choć można by, oczywiście, szukać tradycji, z jakich wywodzą się pomysły pantomimiczne lubelskiego Studia, i nikomu by to nie przyniosło ujmę.

Gdyby w tym momencie skończył swoje piękne wypracowanie, mogłoby być całkiem nieźle. Leszczyński zaliczyłby kolejny wycinek prasowy i — może — drobną satysfakcję. Ale rzecz się — moim zdaniem — dopiero rozpoczyna na dobre, a może i na złe. I jeszcze się mogą komuś narazić. A Leszczyńskiego pogrzebają.

W czasie swego istnienia zespół, o którym piszę, zrealizował siedem spektakli, w tym dwa w Teatrze im. Osterwy na „Scenie Inicyjatyw”. Leszczyński w 1970 roku został zweryfikowany jako instruktor pantomimy, mocą zaś współpracy z teatrami zawodowymi może się nazywać aktorem-mimem. Jako instruktor prowadził ostatnio treningi aktorów w studenckim teatrze „Gong”. Na Lubelszczyźnie zespół Leszczyńskiego dał —

poza terenem Lublina — 130 programów. W Teatrze im. Osterwy Leszczyński miał współpracę pantomimiczną przy paru przedstawieniach oraz sam wykonywał zadania sceniczne w kilku spektaklach, zaś w roku ubiegłym prowadził lekcje pantomimy dla zespołu Teatru.

Sprawa zaczyna się więc rozwijać, i wielka chwala dyrekcji WDK, że przygarnęła Leszczyńskiego, bo mogło być znacznie gorzej. Ale powstaje pytanie, czy wobec rozkręcania się całego przedsięwzięcia — WDK, który nie ma przecież olśniewających warunków lokalowych i finansowych, wytrzyma nadal w swoich szlachetnych zamiarach opiekunów, czy będzie miał po temu realne możliwości, skoro już teraz zespół Leszczyński kosztuje WDK około 30 tys. zł rocznie? Czy w tym przypadku WDK musi pełnić rolę świętej krowiny, resztką sił przygarniającej schorowane dzieci, które gdzie indziej mogłyby mieć korzystniejsze warunki? Pisząc to, nie reprezentuję stanowiska WDK, który nadal wobec zespołu Leszczyńskiego zachowuje się elegancko, lecz reprezentuję stanowisko własne.

Dnia 25 III br. dyrekcja Teatru im. Osterwy przesyła do Wydziału Kultury Prez. WRN w Lublinie pismo, gdzie m. in. czytamy: „Zwracamy się z uprzejmą prośbą o wyrażenie zgody na zatrudnienie w naszym Teatrze Ob. Jerzego Leszczyńskiego w charakterze instruktora pantomimy. W naszej pracy pragniemy bowiem wprowadzić stale ćwiczenia ruchowe dla aktorów, które są niezbędne dla doskonalenia ich warsztatu zawodowego. Dwockowienia te prowadziłby Ob. J. Leszczyński, który jest wybitnym specjalistą w tej dziedzinie. Równocześnie Ob. Leszczyński mógłby prowadzić prace swego amatorskiego Studia Pantomimy, Teatr zaś, zapewniłby temu Studiu opiekę artystyczną i możliwość występowania z przedstawieniami na naszej małej scenie.” Dalej wylicza się, że zespół kosztowałby w roku bieżącym — 47 tys. zł, a w latach następnych po 76 tys. zł. I nie jest to wyliczenie wygórowane, zaś cała propozycja wydaje się rozsądną, i korzystną

artystycznie, wyjściem z sytuacji. Zeby zwiększyć dotację dla Teatru o te właśnie kwoty, prosił dyr. Braun w cytowanym piśmie.

Dnia 19 IV br. przychodzi z Wydziału Kultury odpowiedź odmowna, która tchnie duchem ewangelicznej prostoty: „Zawiadamiamy, że zgodnie z załącznikiem nr 9 do uchwały Rady Ministrów o narodowym planie gospodarczym na 1972 zatrudnienie i fundusz plac w teatrach nie jest wskazaniem dyrektorów pod warunkiem nie przekroczenia planowanej straty. W związku z tym załatwienie powyższej sprawy nie wymaga akceptacji Wydziału. Jednocześnie Wydział zawiadamia, że nie ma możliwości zwiększenia przyznanego dla waszego przedsiębiorstwa na rok 1972 dotacji na pokrycie planowanej straty.” Co znaczy mniej więcej, że forsy nie będzie, a istniejącymi możliwościami etatowymi w Teatrze dyr. Braun może dysponować jak mu się podobą. Zresztą głębszy sens tej wymiany poglądów ujawnia dialog, jaki obie wysokie strony toczyły za moim pośrednictwem.

Kierownik Kosek: Kiedy pismo Teatru do nas dotarło, środki na ten rok już były rozdzielone. Dyr. Braun mógł prosić o dodatkową dotację, bo sprawa nie była planowana, ale musiał się liczyć, że nie będzie na to pieniędzy, jak też się stało. Co zaś do następnych lat, to dyr. Braun, występując o generalne zwiększenie dotacji dla Teatru o 800 tys. zł i planując zwolnienie kilkunastu aktorów, nie uwzględnił w swoich zamierzeniach sprawy Leszczyńskiego, więc chyba mu tak barzo na niej nie zależy.

Dyrektor Braun: Gdyby się z Leszczyńskim udało, byłoby to ważne i bez precedensu sprawa w Polsce. Dla niego i dla nas — potrzebna i korzystna. Ale zostałem pokonany przez Wydział Kultury, a odpowiedź odmowną potraktowałem jako aktualną i na następne lata. Skoro odmawiają raz, nie będę występował drugi raz.

Kierownik Kosek: Sprawa Leszczyńskiego jest zbyt drobna i żenująca, żeby z nią występować do Wydziału Kultury. Normalna

polityka kadrowa w tak dużym przedsiębiorstwie, jakim jest Teatr im. Osterwy, pozwala na tak duży ruch etatowy. Ze dyr. Braun z łatwością mógłby znaleźć miejsce dla Leszczyńskiego. U nas panuje jasność co do tej kwestii. A Studio Wizji i Ruchu to rzeczywiście interesujący i wartościowy zespół.

Dyrektor Braun: Nie mogę jednej osoby wyrzucić, a drugiej przyjąć, czy też okroić komuś pobyry i dać Leszczyńskiemu, bo zawsze powstaje pytanie, kogo zwolnić lub komu zabrać? Zresztą w Teatrze wszyscy są potrzebni, co by powiedziała Rada Zakładowa na takie posunięcia. Nawet gdyby nie wszystkie opuszczone etaty aktorskie zostały obsadzone, to i tak Leszczyńskiego nie mógłbym przyjąć, gdyż wkracza tu argument finansowy — wygospodarowane pieniądze mogą przeznaczyć na elastyczniejszą politykę nadgrza. I wobec tego argumentu upadają wszystkie inne. Zajmowanie etatów i pieniędzy aktorskich etatem i pieniędzmi instruktora wydaje mi się niedopuszczalne. Zresztą Rada Zakładowa...

I tak właściwie mógłby się toczyć bez końca ten nieco makiaweliczny dialog. Wszyscy chcą Leszczyńskiego, wszyscy mają jasność w tej materii, a rzecz nadal na martwym punkcie. Nie ośmielam się twierdzić, choć chwilami miałem na to ochotę, że za sprawą Leszczyńskiego stoi jakaś większa sprawa między Teatrem a Wydziałem Kultury, że Leszczyński jest drobną kartą zagrywaną w jakimś poważniejszym układzie sił. W każdym razie sytuacja wytworzyła się taka, że nikomu nie nie może zaproponować i właściwie nie potrafię pomóc Leszczyńskiemu. Gdyby wszak ktoś znalazł rozsądnę wyjście z tej sytuacji, byłoby to w moim mniemaniu triumf optymizmu nad doświadczeniem, jak mawiał Henryk VIII, żeniąc się po raz siódmy.

Maciej Podgórski

Wróżę sukces

Dokończenie ze str. 1

nej. Nowe wysokie zadanie wymagało wytknięcia drogi wyprzedzających z marazmu. Nadto żarliwy patriotyzm, stanowiący naczelną treść dzieł dramatycznych Wyspiańskiego, z chwilą oficjalnego nawiązania jego twórczości do tradycji romantyzmu, musiał swym nowym wyrazem artystycznym zdecydowanie utracić wszelkie posądzania o epigonizm.

Wydaje się tedy, że w tych warunkach profilaktycznym niejako posunięciem było stworzenie postaci Geniusza na modłę Mickiewicza-mesjanisty. W ten sposób powstała pozorna odszkodźnia do nowatorstwa ideologicznego „Wyzwolenia”, nowatorstwa mającego się objawić w nawoływaniu do CZYNU.

De facto jednak Wyspiański, chyba na skutek osobistych okoliczności życiowych, nie pomyślał czynu nawet tak daleko, jak tego dokonał Mickiewicz w okresie legionu i „Trybuny Ludów”.

„Wyzwolenie” jest dramatem poetycko-publicystycznym — że użycie trafnej definicji, usłyszanej ostatnio od Kazimierza Brauna, autora inscenizacji dzieła, której premiera odbyła się niedawno na scenie Teatru im. J. Osterwy w Lublinie.

Dramat „poetycko-publicystyczny”. Wychodząc z tego założenia rozumując tak: Publicystyka, nawet obliczona w poetję najwyższego lotu, wymaga przede wszystkim konkretnego programu. Otóż w epoce polskiego romantyzmu istniał, rzecz prosta, jedynie program „ramowy” — walka o niepodległość Polski, kształt zaś wymarzonego Państwa, odzyskanego po otchłani męczeństwa narodu, ukazywał się wyobraźni wielkich romantyków w barwach raczej rozjaśnionych. Wydawało się, że już samo zrzućcie jarzma niewoli zobowiąże naród do urzędzenia doskonałego życia. Wprawdzie Mickiewicz sformułował w „Symbolu” zasady, na jakich miała być tworzona niepodległa Polska, ale stan umysłów w szerszych kręgach inteligencji i patriotycznego mieszczaństwa określiłabym parafrazą znanego przysłowia — „Primum liberare, deinde philosophare”.

Owo nastawienie opinii publicznej chętnie by utrzymali w epoce Wyspiańskiego wszyscy ci, których poeta zaprezentował w postaciach: Karmazyna, Hołysza, Prezesa, Przdowhika, Kaznodziel, Prymasa, Samotnika. Ich programem politycznym było umiarkowane manifestowanie patriotyzmu przy utrzymaniu społecznego status quo.

Lecz w r. 1892 powstaje już Polska Partia Socjalistyczna, a w 1895 — Stronnictwo Ludowe, które zapoczątkują opracowywanie konkretnych programów społecznych dla przyszłej wolnej Polski.

Atoli Wyspiański, pisząc „Wyzwolenie” w r. 1902, przenosi akcję swego dramatu poetycko-publicystycznego — do okresu drugiego pogrzebu Mickiewicza w Krakowie w r. 1890. W ten sposób odpada możliwość zajęcia stanowiska wobec istniejących w dobie twórcy dramatu konkretnych programów społeczno-politycznych.

Faktem więc jest, iż poeta istotnie — sam to wyzna ustami Konrada, pozostaje tylko POETA („Jak wyjdę z kręgu czarów sztuki?”) nie stając się publicystą w praktycznym słowa znaczeniu, bo nie daje programu polityczno-socjalnego ponad ten, jaki już dali wiecy romantycy.

Alle Wyspiański jest poetą bardzo wrażliwego sumienia, toteż sprowadzając Konrada z nieba na ziemię widzie go przede wszystkim nie do Reżysera, tylko do robotników teatralnych, na nich pierwszy jego „myśl spoęzła”, ich chce zaważać do jakiejś nowej czynnej postawy wobec Polski. I „myśl, ten szybki lotny gońiec”, chyba „podszeptuje” poetę w końcowym monologu, że właśnie „wyrobnik, dziewczka bosza”, pokonawszy „żelaznych wrót żelazną moc”, bo „Tam kędyś trzeba dojść i wnieść” — że oni może potrafią konkretnie odpowiedzieć na pytanie, jaką to Polskę trzeba budować. Konrad konkretnej odpowiedzi dać nie zdoła.

A zatem „Wyzwolenie” w zakresie postulatów polityczno-społecznych pozostaje dla dzisiejszego zdrowo myślącego widza sztuką historyczną, zawierającą znakomity obraz poetyki tragicznego łamania się Konrada-Wyspiańskiego z myślami o Polsce.

Cały powyższy tok rozumowania miał na celu doprowadzenie do źródła owych niejasności ideowych, o których do dziś napomykał krytycy literacy.

Lecz cóż za paradoksy potrafi wy czarować Pani Sztuka! Przecież to właśnie wytknęła niejasności „publicystyczne” stanowią o tym, co w „Wyzwoleniu” jest istotnym novum formalnym. Przecież ta mgielka poetycka, te niedopowiedzenia, zwłaszcza w dialogach z Muzami (po części — soliloquium) są jakby

prekursorstwem „strumienia podświadomości”, uznawanego dzisiaj za jeden z głównych wyznaczników nowoczesności dzieła literackiego. Prekursorstwo też operuje Wyspiański uopostaciowaniem symboli, zonglując, rzecz prosta, raz po raz tożsamością postaci, nadając nawet „nierealne” Muzie niekiedy całkiem realny kształt aktorki, bynajmniej nie oderwanej od bieżących spraw zawodowych.

Nie jestem natomiast pewna, czy pozbawienie dramatu fabuły jest aż tak cennym nowatorstwem, jak to zwykli przedstawiać dzisiejsi nasi nowatorzy, choć nowe to było w swoim czasie niewątpliwie. Wydaje się, iż sama istota utworu, po części filipiki, po części obrazu udręki sumienia Konrada-Erynisa, sugerowała afabularność. Oczywiście za wielkie zwycięstwo artystyczne Wyspiańskiego należy uznać to, że zastąpiwszy klasyczną jedność fabularnej akcji jednością tematu: Polska a naród — zdołał, przegrzując jako publicysta „konstruktywny”, wygrać jako twórca dramatu poetyckiego. Niestety, współczesne nam eksperymenty z afabularnością mają niejedenkrotnie w teatrze żaloszny skutek.

Wobec tego triumfu Wyspiańskiego mniej ważne wydaje mi się pierwsze w czasie ogołocenie sceny, nie upatrywalabym w nim „pryncypialnego” chwyty formalnego. Skoro Konrad zamierza pokazać budowę „Polski Współczesnej” na theatrum, musiał zacząć budować na pustej scenie, mamy więc tu do czynienia z procederem najzupełniej funkcjonalnym (co — po raz drugi „niestety!” — nie zawsze daje się stwierdzić w koncepcjach dzisiejszej awangardy teatralnej).

Wracając do sprawy nurtu „publicystycznego” w „Wyzwoleniu”, myślę, iż nikt dzisiaj nie będzie miał wątpliwości, że Wyspiański odniósł zwycięstwo już wręcz kolosalne w zakresie krytyki społecznej. Ta

sekwentna w stosunku do zamysłu jej autora, bardzo ułatwia resecpcję „Wyzwolenia”, co chyba było jednym z głównych zamierzeń dyr. Brauna, przeznaczającego spektakl, przypuszczam, nade wszystko dla widzów młodych i w ogóle takich, którzy potrzebują wprowadzenia do poetyki Wyspiańskiego tudzież w arkanach teatru aktualnie awangardowego. Kompendium artystyczne implikowało, rzecz prosta, pominięcie wielu wątków ubocznych, zwłaszcza z zakresu rozważań o artyzmie, oraz usunięcia szeregu postaci, Bogiem a prawdą, nawet postacie wymienione w programie, poza Konradem, Muzą, Starym Aktorem i Reżyserem, nie zawsze są rozpoznawalne na scenie, gdyż przydzielono im mnogie zadania w gruntownie przemysłowym tekście. Tak np., już na początku spektaklu, bezpośrednio po pierwszej, pięknej kwestii Konrada „Co jakie parę staj lat, ...co wiek, co... zjawia się człowiek, który nie może znieść tego, co jest” (celnie przeniesione z aktu drugiego) — wpada nagle szamocząc się grupka, a w jej belkocie rozpoznajemy m. in. strzyżącą kwestii Karmazyna i Hołysza ze sceny pierwszej inscenizowanego przez Konrada widowiska „Polska Współczesna”.

Chcąc dać skrótkowo przybliżone pojęcie o stylu nowej inscenizacji Kazimierza Brauna, porównać ją chyba można z jego spektaklem „Kto ty jesteś?”, zastrzegając się oczywiście, że szlachetny kruszec wytopiony z „Wyzwolenia” pozwolił inscenizatorowi na wyczelowanie znacznie cenniejszego klejnotu, niż bibelotek, na który zdobył się w pracy nad tworzywem oferowanym w poprzednim wypadku.

Na wielki plus inscenizacji należy zaliczyć wyraźnie dostrzegalną w niej troskę o słowo poety, przejawiającą się m. in. w wydobyciu najmocniejszych, a aforystycznych, sformułowań jego myśli, a zwłaszcza w funkcjonalnym posługiwaniu się metafiorą teatralną, bez nieskrupulatnego czynienia jej substytutem ważkiego tekstu.

Dynamizm spektaklu, wręcz zawrotny w widowisku „Polska Współczesna” (ach, to kolejne spychanie



Stanisław Wyspiański — „Wyzwolenie”. Sylwester Woroniecki (Kaznodzieja) i Paweł Nowisz (Hołysz). Foto: CAF

właśnie warstwa dzieła, wraz z poetyką wymową zobrazowania stanu duchowego poety-patrioty, zachowa drgającą życiem aktualność dopóty, dopóki istnieją ludzie, którzy ośmielają się przywłaszczać sobie imię Polaka-patrioty, nie będąc uciążliwymi obywatelami, prawdziwymi budowniczymi Państwa, tylko jego konsumentami, zaślaniającymi się fałszywym alibi.

Z całą pewnością sam fakt pokazania „Wyzwolenia” na lubelskiej scenie zasługuje na wdzięczność społeczeństwa. „Wyzwolenie” nie bez kozery wystawiano stosunkowo rzadko, jego monumentalność i wspomnianą wyżej niekomunikatywność pewnych kwestii odstraszały miennych reżyserów. Ale „Wyzwolenie” jest jednocześnie, jak to się dziś mówi, sztuką otwartą, użyczą wystawiającemu niemalych swobód, które stały się z kolei bodźcem dla reżyserów ambitnych, takich np., jak w czasie międzywojennym m. in. Osterwa, Schiller albo Jarema w awangardowym krakowskim teatryku artystów malarzy (Cricot). W Polsce Ludowej siegał po „Wyzwolenie” — Bronisław Dąbrowski, Wyszomirski, Horzyca, Hanuszkiewicz, Okopiński, Maciejowski, Gruda i in. Naturalnie dążenia dzisiejszych twórczych reżyserów idą w kierunku zdynamizowania i aktualizacji dzieła. Wymaga to nie tylko poważnych skrótów, ale i przesunięć strukturalnych. Już Adam Hanuszkiewicz, Marek Okopiński i Jan Maciejowski okazali się zdecydowanymi radykałami. Gdy porównujemy jednak lubelskie „Wyzwolenie” z widzianym przeze mnie stosunkowo niedawno szczecińskim spektaklem Maciejowskiego, wydaje mi się, że Kazimierz Braun go „przelicytował” w radykalizmie.

Nie potrafiłabym obliczyć, ile Braun skreślił wersów oryginału — jedną trzecią, połowę, czy dwie trzecie, byłoby to zadanie dla nie lada buchaltera, nie powiem również, jakie sceny, jakie kwestie zostały skreślone bądź przedstawione — tu się trochę zabawiałam w detektywa, ale po co nużyć czytelników artykułu pedantycznym dochodzeniem? Dla odbiorcy sztuki leży się rezultat ideowy i artystyczny realizacji dzieła.

A więc: oczywiście inscenizacja Kazimierza Brauna, zwała i kon-

ZAWSZE — nawet gdy byłam „nasolatką” bliźką dwudziestki — ogromnie lubiłam początek jesieni, kiedy pograżony w drzemce centra artystyczne budzą się do nowego życia. Otóż osobnik potrzebujący niemal nalagowo stałego obcowania ze sztuką zaczyna zazwyczaj już przy końcu sierpnia odczuwać w całym swoim jestestwie szczególną niedocierpiwość, ów stan psychofizyczny, który w niedościgły sposób wyrażał genialny Schubert niepokojącą muzyką „Ungeduld”. Zapewniłam tedy, iż bynajmniej nie blaguję twierdząc, że to nie chęć wyrównania krzywd Filharmonii lubelskiej, o której piszę się znikomo mało w stosunku do jej osiągnięć, zaprowadziła mnie niedawno temu na rendez-vous z dyrektorem Natankiem — nie nobilitę poczucie sprawiedliwości, tylko normalna egotystyczna ciekawość trochę niezrównoważonego melomana, pragnącego podelektować się przedsmakiem muzycznego convivium w zapowiadającym sezonie.

Zamiast przeznaczoną z obu stron małej godzinki — przegadałimy pełne godzinę, bo Adam Natanek jest entuzjasta, a entuzjazm jest fenomenem oddziaływającym się w jakimś mierze bodaj i zwykłym rozumem. Wdzięczna za ten przyjemny moment „colloquial”, pragnęłabym wnieść przekażaczki czytelnikom stracającym zarys sezonu 1972/73 P. Filharmonii im. H. Wieniawskiego w Lublinie.

Pisząc przed kilku miesiącami o tej zasłużonej placówce („Kamena” nr 7, artykuł pt. „Ileż ja cenię trzeba...”), kładłam nacisk zwłaszcza na fakt, że w warunkach wojewódzkich jest ona bardziej niż którakolwiek inna otwartym oknem na świat — na światowe osiągnięcia artystyczne wysokiej rangi. Fakt ten pozostaje nadal faktem, jak wynika dowodnie z projektów dyrekcji, po większej części nie tylko zupełnie konkretnych, ale i zagwarantowanych umowami.

Żuł doroczny „Lubelski Wrzesień Muzyczny” zaprojektowany tym razem pod kątem uczczenia 50-lecia powstania ZSRR prezentuje się nader okazale dzięki istnej paradzie orkiestr i chórów zagranicznych. Otwiera ją Moskiewski Chór pod dyrekcją Wł. Sokolowa, który spopularyzowały w Polsce sukcesy na VII wrocławskim festiwalu oratoryjnym „Wratislavia Cantans”. Znakomity chór Sokolowa wystąpi też niebawem

w Filharmonii Narodowej, jako uczestnik Warszawskiej Jesieni. Na fraępujący jego program składa się stara rosyjska muzyka chóralna, świecka i cerkiewna, oraz utwory kompozytorów radzieckich.

W dalszym ciągu „Lubelski Wrzesień Muzyczny” uświetnią koncerty: Orkiestry Kameralnej Radia i TV z Bukaresztu, Chór Konserwatorium z Jass, Orkiestra Symfonicznej Radia Lipskiego, rumuńskiej Orkiestry Kameralnej z Cluj, Orkiestry Kameralnej Konserwatorium Moskiewskiego. Monumentalnym finałem „Września” będzie, w związku z rocznicą Moniuszkowską, pełne estradowe wykonanie „Halki”, pod dyrekcją A. Natanka, z udziałem Bożeny Kinasz-Mikołajczak, Jadwigi Dzikówny, Józefa Kolesińskiego, Jerzego Kulczy, Marka Dąbrowskiego i Chóru Towarzystwa Śpiewaczego „Echo”.

Warto zauważyć przy sposobności, że współpraca z Lubelskim Chórem „Echo”, który, nawiasem mówiąc, zdobył niejedną nagrodę i wyróżnienie w konkursach krajowych i zagranicznych — że ta stała współpracą sprzyja niewątpliwie wprowadzeniu do programów Filharmonii pozycji kantatowo-oratoryjnych tudzież atrakcyjnych dla szerokiej publiczności operamentary (w bieżącym sezonie zaplanowano np. na grudzień, dla uczczenia 50-lecia powstania ZSRR — „Borysa Godunowa” Musorgskiego z udziałem solistów warszawskiego Teatru Wielkiego).

O ambitnej woli udostępnienia słuchaczom monumentalnych form muzycznych i przedniej kameralistyki świadczą zwłaszcza programy zaplanowane przez dyrekcję PFL na listopad. Bezpośrednio po występie w Warszawie, w Filharmonii Narodowej, przybędzie do Lublina na uroczysty koncert z okazji 53 rocznicy Rewolucji Październikowej Moskiewska Orkiestra Symfoniczna pod dyrekcją Weroniki Dudarowej. Następnie będziemy gościć Orkiestrę Filharmonii z Burgas, a przy końcu miesiąca Sztokholmski Zespół Kameralny, który wystąpi też tylko w Filharmonii Narodowej i u nas. Oczywiście dość częste jeszcze poza tym uprzywilejowanie Lublina przez zespoły zagraniczne omijające inne miasta wojewódzkie — jest wynikiem operatywności kierownictwa Filharmonii im. H. Wieniawskiego.

Zgola niebanalnym wydarzeniem z zakresu kameralistyki będzie niewątpliwie występ 4-osobowego Zespołu Harfowego z Nowego Jorku pod dyr. prof. Aristida von Würtzlera. W zespole owym grają dwie Polki!

Gdy już padło słowo kameralistyka, że specjalną satysfakcją sygnalizującą zaprogramowane Krakowskie Trio Barokowe: flet — B. Świątek, wiolonczela — J. Klosek, klawesyn — córka Czerny-Stefańska, E. Stefańska-Lukowicz, która będzie grać na świeżo nabytym przez PFL instrument (dodatkowo „punkt” dla dyrekcji PFL).

Jako arcyznalazła sensację zapowiedział przewidziany na kwiecień koncert kameralny u czołgi Mikołaja Kopernika, poświęcony muzyce jego epoki, szeroko pojętej, bo obejmującej stulecia od XII do XVI. Na program złożą się utwory wokalne i instrumentalne rzadko wykonywane — pieśni trubadurów anonimowych i takich mistrzów, jak m. in. Walter von der Vogelweide (którego dzieła musiałam kiedyś ukuwać w szkołach). Kopernikański koncert zaczęli też słuchaczy udziałem instrumentów starych. Będą to: gęBEKI, viola dysskantowa, viola da gamba, flet prosty i lutnia.

A propos instrumentów — tytułem do słusznej dumy dyrekcji PFL jest nabycie kilka tygodni temu na Targach Poznańskich za 10 tysięcy dolarów „jednego z dwóch Steinwayów”.

Pora tedy przejść do solistów, zaczynając od mistrzów fortepianu, którzy zapewne będą sobie chwalić wspomniany nowy nabytek. A więc widzimy w planie naszej Filharmonii wśród nazwisk obcych m. in. Greka Tonisa Georgiou, z okazji stulecia urodzin Rachmaninowa, wykona on Koncert d-moll. Odnotowuję też z zadowoleniem zaanonsowany na październik recital pianisty radzieckiego Rudolfa Kerera, którego nagrania są w Polsce bardzo poszukiwane. Ze znakomych pianistów-Polaków usłyszymy: Witolda Malcużyńskiego, Halinę Czerny-Stefańska, Reginę Smendziankę, Barbarę Hesse-Bukowską, Adama Harasiewicza, Piotra Palecznego (któremu gratulujemy zdobytego ostatnio Złotego Medalu i Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Muzycznym w Bordeaux).

Nie zabraknie też wybitnych mistrzów innych instrumentów, że wymienię na razie choćby skrypka z Wenezueli, Maria Hassona, naszego Kulę (poczynione już są starania), Wandę Wilkomirską, Kaję Danczowską, laureatkę ostatniego międzynarodowego Konkursu im. H. Wieniawskiego, wiolonczelistkę Bogusławę Reszke, bardzo młodą wiolonczelistkę Barbarę Furgo, wychowankę P. Liceum Muzycznego w Lublinie (która uzyskała dyplom z odznaczeniem z Konserwatorium Moskiewskiego), a także oryginalny talent Elżbiety Gajewskiej, absolwentki klasy fletu PWSM w Warszawie, w r. 1971 — stypendystki Rządu Francuskiego w Paryżu.

W ogóle A. Natanek z dużą uwagą śledzi osiągnięcia młodych talentów. Dość powiedzieć, że od 27 do 30 listopada codziennie będą się u nas odbywały koncerty laureatów VI Międzynarodowego Konkursu im. H. Wieniawskiego, czyli bezpośrednio po wynikach imprezy poznańskiej.

Widomo, że Adam Natanek, sam doskonały dyrygent, lubi zapraszać interesujących kolegów z kraju i z zagranicy. Nie po raz pierwszy poprowadzą Orkiestrę PFL Witold Krzemiński i Karol Anbild, spośród obokrajowców zaprezentują swoje mistrzostwo, poza dyrygentami występującymi ze swymi, wyżej wymienionymi orkiestrami, jeszcze Mirosław Bervid (CSRS), J. Raiskinen (Finlandia), Anton Nanut (Jugosławia), który miał już kilka występów w Warszawie, w Filharmonii Narodowej.

Jest to tylko tyle o sprawach „personalnych”, ile daje się zmieścić w zwięzłej relacji. Sprawa repertuaru — ta należy niejako do futurologii, plan budżetowy nie może ogarnąć jej w całość. Tu działa w dużym stopniu „prawo” zależności od zaproszonych wykonawców. Ale bądźmy jak najlepszy myśliciel: aproposi zostali artyści wysokiej rangi, a jak to się mówi — „noblesse oblige”. Z kóryżtoś ma być tylko zaplanować treści programów związanych z rocznicą Rewolucji Październikowej, z 50-leciem urodzin Mikołaja Kopernika, 100-leciem urodzin Rachmaninowa, ze 150 rocznicą urodzin Cezara Francka, 125-letniej śmierci Mendelssohna z 15-leciem śmierci Malcużyńskiego, 10-leciem śmierci Wieniawskiego.

Sądąc, że już przytoczone przeze mnie konkrety artystyczne wyjątkają chyba, jak to się dzieje, iż Filharmonia im. H. Wieniawskiego w Lublinie, która dała w ubiegłym sezonie 367 koncertów, mogła śmiało zaplanować na sezon nowy — 400 i dalszego potrafi rozprzestrzeniać abonamenty na 70% miejsc swojej sali, do pozostałych zaś 30% miejsce ustawia się przed jej kasa klubka, na której koniec często brakuje biletów.

Niech nam zicieli się jak najpełniej pięknie zaplanowany sezon koncertowy P. Filharmonii im. H. Wieniawskiego wraz z jego ukoronowaniem, Nałęczowskim Divertimento, które zyskało już dobrą sławę uroczaj imprezy majowej.

Motto:
W. Szymborska „Przyjaciół”:
„Obeznaną w przestrzeniach
od ziemi do gwiazd
gubimy się w przestrzeni
od ziemi do gwiazd”

KSIĘŻYC

Anna Kryda

CODZIENNE o tej samej porze czekał na mnie przed furtką. Wiedział, doskonale wiedział, że przyjdę do niego, że pójdę z nim gdziekolwiek zechce. Ludzie z miasteczka śmiali się ze mnie, co jednak nie przeszkadzało mi, ani nie mogło zmartwić. Po babce odziedziczyłam stary, obrzydliwy kapelusz, w którym wyglądałam jak strach na wróble. Byłam brzydka. Tak. Byłam brzydka i wiedziałam o tym. Nie czytałam książek, bowiem w książkach, które znalazłam, nie było nic oprócz miłości. Nie interesowało mnie to. Wiedziałam doskonale, że nie istnieje dla mężczyzny jako kobieta. Patrzyłam czasem na nich z daleka z lekką kpinką, lecz także z ciekawością. Były to istoty tajemnicze, dziwne, słowem nie z tego świata. Wspaniali mężczyźni, których nie znałam. Nie tęskniłam do miłości, bo jakże można tęsknić do czegoś, czego się nie zna. Ludzie w miasteczku gadali, że letnia burza zrzuciła mnie na ziemię. Gadali, że spadłam z księżycą. Byłam z tego ogromnie dumna. Wszyscy gdzieś się urodzili, mieli matkę, ojca i braci, a ja nie miałam nikogo. Tylko ten stary kapelusz. Ludzie mówili, że to po babce. Może i po babce, która pewnie także spadła z księżycą. Nie pamiętałam jej. Nie widziałam nigdy mojej babki, ale skoro kapelusz został, to i babka musiała być, prawda? Tak też sobie myślałam patrząc nocami przez okno. Coraz mocniej wierzyłam w to, że spadłam z księżycą. Księżyc śmiał się do mnie, wchodził nocami do mojego pokoju, kładł się na podłodze i słuchał mojego oddechu. Nawet we śnie czułam jego obecność. Rano płakał i wtedy na liściach i trawie w moim ogrodzie śniły jego łzy. Tak, księżyc płakał. Pocięczałam go, jak mogłam.

— Nie płacz — mówiłam — nocą znów będziemy razem.

Ale on płakał i odchodził. Znikał za lasem i stawało się jasno. Wiedziałam, że mieszka w lesie. Chciałam nawet wybrać się do niego z wizytą. Pewnego dnia włożyłam mój śliczny kapelusz i poszłam na przelaj przez pola w stronę lasu. Szukałam go wszędzie, zaglądałam pod najmniejszy krzaczek, wołałam. Nie odpowiadał nikt. Wróciłam do domu bardzo zmęczona. Z niecierpliwością oczekiwałam nocy. Przyszedł. Jak zawsze jasny i pogodny.

— Gdzie byłeś? — zapytałam z wyrzutem. Uśmiechnął się.

— Byłem bardzo daleko, byłem za czerwonym morzem — powiedział.

II

Mój ogród był dziki i zapuszczony. Wszędzie trawy, zeschłe gałęzie, pogubione w ga-

szczy kwiaty. Usiadłam pod starym klonem i przytuliwszy usta do jego chropowatej ręki uśmiechałam się, myśląc o księżycu. Moje rozmyślenia przerwane zostały w sposób arcydziwny. Obrzydliwa ruda kula stoczyła się pod moje nogi.

— Zdało się — że zwichnąłem sobie łapę — powiedziała kula.

— A kim ty jesteś — dodała, spozostzegając mnie.

— Ja? Ja spadłam z księżycą — powiedziałam z dumą — a ty, czy także spadłaś z księżycą?

— Nie, ja spadłam z drzewa, możesz mi mówić Rudy — rzekła.

— Jesteś mężczyzną?

— No pewnie, że jestem.

Ucieszyłam się. Rozmawiałam z mężczyzną. Ale w tej samej chwili odwróciłam twarz uprzytomniwszy sobie moją brzydotę.

— Ja nie jestem zwykłym mężczyzną — powiedział nagle. Zapomniałam o obawach, popatrzyłam na niego. Rzeczywiście, różnił się od mężczyzn, jakich spotykałam w miasteczku.

— Ja jestem Kotem Mężczyzną i za żadne myszy świata nie chciałbym być kimś innym.

Kotem! On jest Kotem Mężczyzną! Myślałam samymi wykrzyknikami.

— Pierwszy raz widzę prawdziwego kota — powiedziałam.

Kot przeciągnął się, ziewnął, po czym zwinął się w kłębek i zasnął. Teraz mogłam go dokładnie obejrzeć. Kot mruczał coś przez sen. Był taki piękny. I tak przesiadałam z nim wiele, wiele godzin. Nie zauważyłam, jak nadeszła noc.

— Czemu rozmawiasz z tym przybłądą?

Podniosłam oczy. Na chmurze siedział księżyc z ogromnie zagniewaną miną.

— To nie przybłąda — powiedziałam — to Mężczyzna Kot.

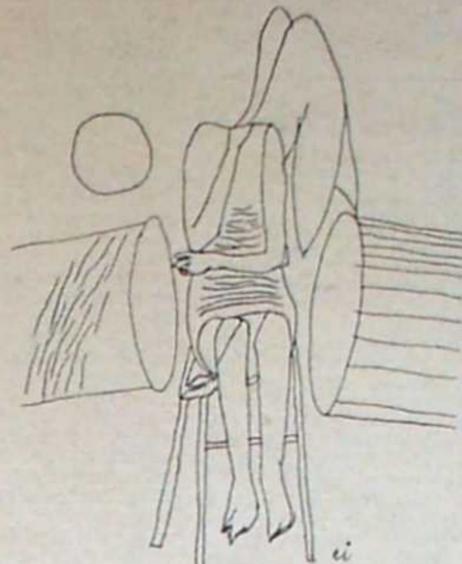
— Bzdura — obruszył się księżyc — to przecież zwykły kot, jakich tysiące pęta się po dachach w czasie mojej pełni.

III

Ludzie w miasteczku śmiali się z mojego kota. Mówili — znowu coś zmyśla, wariatka. — Zupełnie nie rozumiałam, w jaki sposób dowiedzieli się o nas. Ja nikomu nie mówiłam, a księżyc nie podejrzewałam o konspiracyj z ludźmi. Tajemnica wydała się nadszkodzenie szybko. Obserwowali mnie. Nic sobie z tego nie robiłam. Spotykałam się z Rudym prawie codziennie. Opowiadał mi o

swoich kocich przygodach, a miał ich co niemiara.

— Wiesz — mówił — pewnego dnia wybrałem się na polowanie. Właśnie zapadał zmierzch. Po lesie snuły się zielone cienie.



Rys. E. Inglot

Nie bałem się nic, a nic. Przycisnąłem się za drzewem i czekałem. Nagle widzę, jak na polanie wychodzi tygrys...

— A kto to jest tygrys — zapytałam — też mężczyzna?

— Eee — powiedział lekceważąco — mężczyzna, ale nie taki jak ja!

Wpatrywałam się w niego i słuchałam starając się nie uronić ani jednego gestu.

— I tygrys wyszedł na polanę. Jak nie strzelił z tygrysa nie ma.

— Dlaczego go przestraszyłeś?

— Nie warto z tobą rozmawiać — obruszył się kot. Obrażony, nie chciał już mówić.

— Nie, to nie — pomyślałam.

— Ten wstrętny kocur kłamie jak z nut — powiedział księżyc.

— Kłamie? A skąd wiesz?

— Bo byłem tam. Ja zawsze jestem wszędzie.

Nie wierzyłam. Przecież mężczyzna nie może kłamać. Nie chciałam rozmawiać z księżycem.

— Spadłaś ze mnie więc powinnaś mi wierzyć. Tamtej nocy właśnie kot uciekał gdzie pieprz rośnie.

— A gdzie pieprz rośnie? — zapytałam z ciekawością, zapomniawszy o urazie.

— Tam, gdzie kot uciekał.

— Aha. Chyba jednak uwierzę mu — pomyślałam.

IV

Byłam zła na kota. Jak on mógł mnie oszukiwać. Postanowiłam, że już nigdy więcej nie będę z nim rozmawiała. Księżyc powiedział, że kot musi kłamać, ponieważ jest mężczyzną. No to co z tego. Czy wszyscy mężczyźni kłamią? A może tylko mężczyźni-koty? Uwierzyłam jednak księżycowi, bo oprócz Rudego nie znalazłam żadnego innego mężczyzny, a Rudy kłamał.

V

Dziwiło mnie trochę, że Rudy nie przyszedł. Wprawdzie i tak nie odezwałabym się do niego, ale zobaczyłabym go przynajmniej. Przez dłuższy czas siedziałam w ogrodzie. Czekając. W pewnej chwili spostrzegłam go. Szedł w moim kierunku od strony miasteczka, bardzo powoli. Kiedy podszedł bliżej, zauważyłam dziwne ślady, jakie zostawiał za sobą. Były drobne i czerwone.

— Jestem ranny — powiedział kot — wracam z polowania.

— Jesteś ranny? A co to znaczy?

— To znaczy, że umrę.

— A co to znaczy umrzeć?

— To znaczy, że już nigdy ciebie nie zobaczę.

— Kto to zrobił? — spytałam.

Nie odpowiedział. Popatrzył na mnie.

— Wiesz — odezwał się — lubiłem cię, byłaś taka inna. Zamknij oczy.

— Rudy, obudź się — wołałam.

Nie reagował. Tak. Domyślałam się, kto to zrobił. Głupi, okrutni. Ale dlaczego, dlaczego? Nie mogłam zrozumieć. Wtem usłyszałam jakiś huk i śmiech. Upadłam obok Rudego. I wówczas spostrzegłam, że Rudy uśmiecha się.

— Tak — powiedział — nie będę już kłamał. Tutaj będziesz znała moje wszystkie myśli.

— Tutaj? Gdzie my jesteśmy?

— Tam, skąd przyszedł.

— Ja przyszedłam z księżycą, więc jesteśmy na księżycu — myślałam głośno.

— Spójrz w dół — rzekł kot.

Spojrzałam. Ziemia była taka mała, że aż nieprawdziwa.

— Jesteście moimi gośćmi — powiedział księżyc i przymrużył łobuzersko oko.

Po co ta muzyka?

ZEZNANIE niniejsze dotyczy kilku gestów, które przelatywały z założenia złudne nadzieje. Niepokój przed każdorazową próbą fałszowania moją rzeczywistością. Oczekiwania nie mieściły się w zaprojektowanych sytuacjach.

Był to dłuższy i ważniejszy okres, niż całe moje dotychczasowe życie. Zdarzenia zostały przeniesione w sferę oceniania i wspomnień. Mogę na nie patrzeć tak, jakby dotyczyły kogoś innego. Czas, który się od nich oddzielił, jest już martwą siatką.

Nigdy nie było mnie tam, gdzie żyłem. Spotykałem siebie w przywoływanych miejscach. Są one przypisane czasowi, który wypełnił pamięć. Zdarza się, że jeden moment zawiera miejsca leżące w różnych częściach świata. Tam kamienie czasu, gromadzi się w zamiatry. Projektalem zdarzenia, a już czułem się w nurcie pamięci.

Teraz nadarzyła się okazja. Jestem przez nią zagrożony. To trochę niehygienicznie.

Zawsze marzyłem o rzeczach, których nie byłem w stanie osiągnąć. Żyłem pod kloszem. Wyhodowany na zabójcę świadomego własnej sytuacji, ograniczyłem się do nieszkodliwej dla otoczenia podejrzliwości.

Choroba nóg nie pozwalała mi poruszać się o własnych siłach. O tańcu nie było po co myśleć. Przy wielu innych nieosiągalnych przedmiotach marzeń zachowywałem się identycznie. W ten sposób przeniosłem życie, którego jeszcze nie widzieliśmy — na płaszczyznę tęsknot. Stawałem się coraz bardziej gderliwy. Nieufność moja dotyczyła podstawowych aksjomatów codzienności. Bluźnięciem przeciw świętościom mego otoczenia.

Chromi nie tańczą. Muzyka krąży wokół nich. Raz pozwala zapomnieć o ulomnościach, kiedy indziej potęguje świadomość kalectwa.

Mogłem się wyzwolić. Zapewniała, że potrafi wyuczyć mnie tańca.

Dominik Opolski

Pragnąłem spróbować. Równocześnie bałem się potwierdzenia własnych przekonań.

Zawsze posługiwałem się dwoma kulami. Łaska z pewnością by nie wystarczyła. Wprawdzie lewa noga jest bardziej umięśniona, ale przekonałem się, że samodzielnie nie potrafię stać nawet przez chwilę. Od tego czasu bardziej niż kiedykolwiek przedtem musiałem kontrolować każdy odruch strachu. Czuję nad sobą, jak nad zaszczytnym zwierzątkiem.

Za wszelką cenę chciała udowodnić, że nogi moje nie tylko utrzymają ciężące ciało, lecz są w stanie je przemieszczać.

Po niedługim czasie — zapewniła — będziemy tańczyć.

Chciałem żyć przeciw sobie, a jednocześnie przeciw wszystkim, którzy ofiarowali mi swoją opiekuńczość. To, co wówczas czułem, było zlepkiem dwu krańcowych

uczuć: miłości i nienawiści. Nie wiedziałem, czy chce udowodnić nieodwracalność mego kalectwa, czy omamlić mnie swoją szarlatanerią. Uległem. Ale przestała nalegać. Oświadczyłem, że pójdziemy do lekarza. Niech zadecyduje.

Chyba bardziej nienawiść niż miłość stwarzała potrzebę jej widywania. Czas, który wspólnie wydzieliliśmy, pozostał echem perfidnej gry. Ani jednego gestu sympatii; niedokończone klótnie zaczynały następne spotkanie. Na jej widok najczęściej mówiłem: „Po co przyszedłaś, nie znośzę cię”. Ona równocześnie zamiast powitania: „Pomilujemy się trochę. Ile wystarczy sił. Będę cię drażnić. To sprawia mi rozkosz. Może wreszcie rzucisz się na mnie, może podskoczysz na swoich patyczkach”.

Często mówiłem, że ma słowiczki móżdżek. Ale odchodziła dopiero wówczas, gdy zauważyła moje zmęczenie. A to właśnie był przypływ sił.

Lubiłem ją nienawidzić. Czulem, jak za każdym razem zostawia we mnie coś bardzo ludzkiego. Trudno byłoby bez niej żyć. Przeniosła mnie w świat zdrowych.

Wiosna wkraczała w zimowe nawyki ludzi i zwierząt. Drzewa gotowały się do wszczęcia działań na rzecz owoców.

Któżś dnia przyniosła mi bazie. Gdy weszła do pokoju leżałem na tapczanie. Małenka szparka w jednym oku dostarczyła mi pełnego jej obrazu. Po raz pierwszy poczułem jej rękę. „Spisz” przez nią wypowiedziane kazalo mi się nie ruszać. Lekko przysiadła na krawędzi. Pocałowała mnie w skroń. Po kilku minutach nagle otworzyła oczy i gwałtownie usiadłem. Objęła mnie z całą siłą i ściągnęła na podłogę. Rozkazała, bym się jej mocno trzymał. Wtedy zaczęła ze mną tańczyć.

Nie było muzyki. Nie znalazłem prawdziwej uległości rytmu. Tańiec bez melodii i mojej znajomości kroku, tańiec obłędu i radosnej rozpaczki wbił się w moje ciało. Ruch wydłubał mi ręce. Objęmwalem coraz większe obszary. Nie zauważyłem zdziwienia.

Po jakimś czasie zostawiła mnie na środku pokoju. Bez żadnego oparcia. Włączyła adapter. Tango...

Okazało się, że mam doskonale wyczuć rytmu. Ale po co ta muzyka? Tańczyliśmy jak wszyscy, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, że stawiają nogi. Każdy mój krok był naszym wspólnym burzeniem podstawy, na której stał — teraz już rozbity kłoz. Zbyt długo utrzymywał mnie w obezwładniającej gotowości.

Waldemar Michalski jest człowiekiem nad wyraz subtelnym i jak rzadko kto oddanym literaturze i książkom, co w dalszych czasach zaczyna być podstawą rzadką, bo coraz mniej ludzi wierzy w moc i posłannictwa literatury, czemu ja się zresztą tak bardzo nie dziwię.

Urodził się 27 września 1938 roku we Włodzimierzu Wołyńskim (obecnie Ukrainka SRR) w rodzinie inteligentów. Liceum ogólnokształcące skończył w Chełmie Lubelskim w 1956 roku („Październik mi został w święto-pogładzie”). Filologię polską skończył w Lublinie w roku 1962. W przyszłości marzył mi się jakiś doktorat z powojennego środowiska literackiego („Lubelszczyzna”). Obecnie pracuje jako bibliotekarz — z zamiłowaniem.

W roku 1968 był jednym z założycieli studenckiego klubu literackiego „Kontropunkt”, którego kolumna ukazywała się na łamach „Kuryera Lubelskiego”. Należy do Koła Młodych przy lubelskim oddziale ZLP, naukowo-literackiego klubu literackiego i KKMP. Para się dziennikarstwem, a szczególnie krytyką literacką.

Debiut poetycki — rok 1966 w „Biuletynie Młodego Twórcy”, emerycznym piśmie, którego dwa numery zostały wydane przez ZW ZMS. Publikował poezję i prozę w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Głosie Nauczycielskim”, „Kulturze i Życiu” (dodatek do „Szczepku Ludu”) i w „Kamieniu”. Drukował w co najmniej ośmiu almanachach. Jest laureatem kilku konkursów literackich. Ma głoszone tomiki poetycki w Wydawnictwie Lubelskim.

Powstaje: „Poezja jest moja pasją i nadzieją. Oto jej argumenty i atuty: stara się mówić o tym, czego jeszcze nie można zdefiniować, stara się o tych

obszarów myśli ludzkiej, do których nie ma już dostępu logika, skutecznie rywalizuje z filozofią. Naród bez poetów i poetki jest niezdolny do samodzielnego myślenia i działania. Wyobraźnia poetycka jest warunkiem każdej twórczej pracy”. Bardzo piękne to i nawet wzruszające.

W założeniu jest to poezja budowana na pokładzie refleksji tak zwanej intelektualnej, poezja maksymalnej kondensacji, nieco postawangardowa, aczkolwiek ściśle powiązana z motywami Lubelszczyzny.

MP



Waldemar Michalski

Twarze przyjaciół

Twarze przyjaciół znaczą więcej niż ich słowa
Świeca wypala się powoli dymi na sufit
prześwietla dlonie. Jakże mięsz ich czerwony
przypomina orchideę zamkniętą w kryształowej
kuli lub narodziny dziecka wyrwanego jak wiśnia
i rzuconego na kwadrat przecieradła.
Twarze przyjaciół noszą gorczy
gdy usta spływają kawałek tytoniu
a w palcach dymi ogień. Bitych po twarzy
nie trudno zrozumieć gdy się było bitym.

Roma

Obudziły się ptaki i cisze jak mgłę
uniósł poranek — kot się przedziłnął
otarszy ogon o łuk konstantyna.

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu
tysiące limuzyn napiera na forum
zdeptano kamienie pomniki ruiny.

W spalinach dławią się kapitołińskie konie
i tylko w termach nieco chłodu jak wina
wysoko cyprysy pinie oliwki.

Villa Borghese — przepych — golowe garnitury
czerwona zazdrość plonie jak goździk
w oknie westalki Cecylii.

Po prochach bogów stąpając dowoli
śmiać się czy bluźnić wokoło?

Podmiejski pejzaż

Pejzaż niedzieli nie sięga dalej ponad drzewa
duszona spalinowym gazem i podmiejskie śmietniki.
Twój głos jak jajo obierane ze skorupy
wyrzuc tu także przy łada okazji.
Czym jesteś licząc na własne słowa
jak płótno odziedziczonych spodni.
Oto ucieka echo — płyną strumienie samochodów
a my wdeptani w ziemię
jak gorkie powietrze lub coś co się wypływa.

Pośród świata

TYTUŁOWY wiersz najnowsze tomu Wisławy Szymborskiej „Wszelki wypadek” był już przedmiotem obszerny analizy w „Życiu Literackim”, co nieczęsto zdarza się w naszej praktyce krytycznej, zanim jeszcze został opublikowany w książce. Myślę, że wybór padł trafnie, utwór ten należy do pierwszych w tomie, nie tylko z tej racji, że go otwiera. Zajmuje pozycję czołową dlatego, iż skupia w sobie najistotniejsze właściwości sztuki poetyckiej Szymborskiej, zawiera je w nasileniu i układzie niemal programowym. Czym jest wiersz tytułowy zbioru? Na to pytanie nie można chyba dać odpowiedzi jednoznacznej. Można go odczytać jako monolog podmiotu lirycznego, referujący możliwości, przed jakimi stał człowiek:

Ocalaleś, bo byłeś pierwszy.
Ocalaleś, bo byłeś ostatni.
Bo sam. Bo ludzie.
Bo to lewo. Bo w prawo.

Ale nie ma też przeszkód, by we „Wszelkim wypadku” dosłuchać się chóru wielu głosów. Byłby wówczas ten utwór zbudowany na zasadzie układu wypowiedzi różnych ludzi, dotyczących sytuacji wykluczających się wzajemnie, ale jedynie słusznych w izolacji, w poszczególnym przypadku. Niezależnie od interpretacji wiersza ważne jest co innego: niezwykle dramatyzm wypowiedzi, umiejętność precyzyjnego stawiania pytań, wezwanie do refleksji nad pospolitą, zdawałoby się, tokiem wydarzeń. Szymborska ma dar, dzięki któremu nawet słowa, wypierane ongiś przez awangardowych poetów poza obszar wiersza jako bezwartościowe, nabierają wagi, ulegają daleko idącej rewaloryzacji:

Wskutek, ponieważ, a jednak, pomimo.
Co by to było gdyby ręka, noga,
o krok, o włos
od zbiegu okoliczności.

Można by powiedzieć, że Szymborska bierze za punkt wyjścia sytuację czy obrazki zwykłe, niemal banalne, w każdym razie dostępne doświadczeniu każdego czytelnika. Jak więc odbywa się ich „dowartościowanie”, co jest w wierszu tym krzesiwem, które z martwego kamienia wydobywa iskrę poezji? We „Wszelkim wypadku” posługuje się poetka różnymi sposobami, składającymi się na wyraźną regułę. Parę przykładów. W teatrze dla widza najważniejszy jest spektakl, wrażenia z teatru podmiotu lirycznego mają inną zawartość, najistotniejszy jest dla niego akt szósty, „zmartwychwstanie z pobojowisk sceny”, więcej:

Ale naprawdę podniosło jest opadanie kurtyny
i to, co widać jeszcze w niskiej szparze:
tu oto jedna ręka po kwiat śpiesznie sięga,
tam druga chwytą upuszczony miecz.

Dokonyuje się więc odwrócenie proporcji, zmiana perspektywy. I ta ciągła zmiana widzenia i przesuwanie się wartości są w tej poezji stale obecne. Spójrzmy jeszcze na słowa: „podniosło jest opadanie”. Jesteśmy świadkami jednego z ulubionych chwytów artystycznych Szymborskiej, który polega na zbliżeniu słów pozostających do siebie w wyraźnej relacji (turych w górę przeciwstawiony ruchowi w dół). Dowody — niemal w każdym wierszu: „na okoliczność długiego na krótkie życie czekania”, „Przeprasza wielkie pytania za małe odpowiedzi”, „ich zabójcze kuracje na uleczalne choroby”, „Wszystko, co przewidzieli, wypadło zupełnie inaczej”. Szymborska idzie często tropem swoich poprzedników odkryć, znanych choćby z pamiętnego utworu „Muzeum”. W „Pomyśle” znajdujemy się również w scenarii muzealnej, z obrazów patrz „bezsenni prorocy”, królowie spoglądają z „tchem zapartym” (zauważmy jak poetka potraktowała dosłownie użyte określenia). O północy dzwoni w galerii telefon — „śpiących, gdyby tu byli, zbudziłby od razu”; ale tutaj jest inaczej, dama z portretu „nie odkłada swojego wachlarza”. A telefonujący, który wybrał fałszywy numer? „Zyje, więc się myli”. Piękna odmiana formuły kartezjańskiej — w świecie umarłych błąd jest niemożliwy, należy on do świata ludzkiego.

W omawianym tomie wyodrębnia się kilka utworów, przeciwstawnych sobie, ale mocno ze sobą zespolonych. To co je łączy, można by nazwać problemem tożsamości, dostrzeganiem wspólnoty z naturą i potrzebą oddzielenia się od niej, wyodrębnienia. „Przemówienie w biurze znalezionych rzeczy” stanowi jakby historię świata, przedstawia prehistorię człowieka w najdawniejszych nawet ogniwach przemiany. Oto niektóre:

Wyskakiwałam ze skóry, trwoiłam kręgi i nogi,
odchodziłam od zmysłów bardzo dużo razy.
Dawno przymknęłam na to wszystko trzecie oko,
machnęłam na to pletwo, wzruszyłam gałkami.

Zawiera się tu poczucie jedności z przyrodą „pojedynczej osoby w ludzkim chwilowo rodzaju”. W utworze „Zdumienie” natomiast odczuwamy bunt przeciw „przypisaniu”, zamknięciu w formie, określeniu człowieka raz na zawsze. Przytoczmy kilka pytań z całej ich sekwencji, które opowiadają się za wolnością, a zwrócone są przeciw fatalistycznej konieczności:

Czemu w zanadto jednej osobie?
Tej a nie innej? I co tu robisz?
W dzień co jest wotkiem? W domu nie gnieździe?
W skórze nie tusze? Z twarzą nie liściem?

Również „Wywiad z dzieckiem” zawiera protest przeciw monotonii istnienia, powtarzaniu form, „bez wyjścia z siebie”, w „pokornym śtąd-dotąd”. Forma muchy jest jej pułapką, kształt myszy — jej potrzaskiem. Ten bunt przeciw ograniczeniu istnienia, tęsknota za wzbronioną możliwością wyraża znakomicie jedną z podstawowych tęsknot człowieka. Śtąd pojawia się motyw zazdrości wobec niższych form życia. W „Autotomii” czytamy o strzykaniu, która w niebezpieczeństwie dzieli się; jedną część przeczyna „na pożarcie światu” — zaś „drugą sobą ucieka”. A więc:

Umrzeć ile konieczne, nie przebrawszy miary.
Odrośnąć ile trzeba z ocalonej reszty.
Człowiekowi nie dano takiej właściwości, człowieka przepaść nie
przecina, lecz go otacza.

Można by się tak zatrzymywać przy każdym niemal utworze Szymborskiej, poddawać się jego urokowi i wnikać w mądrość, nasyconą po brzegi treściami i przeżyciami, jakie są udziałem współczesnego człowieka. Ale poezji tej nie da się sprowadzić do jednej formuły, zaś niektóre wiersze zdają się nawet sobie wzajemnie zaprzeczać. „Wszelki wypadek” nie jest bowiem wyłącznie głosem poetki, lecz zbiorem jakby wielu głosów, wykonaniem ról, powierzonych poszczególnym — jak mówią poloniści — bohaterom wierszy. „Prospekt” stanowi w całości monolog pastylki, kuszającej człowieka, przyrzekającej mu „sztuczne raje”. W ten sposób dramatyzm podejmowanych przez autorkę spraw łączy się z formalnymi właściwościami budowy dramatycznej utworu. Dramatyzm jest bowiem stałą właściwością poezji Szymborskiej, w każdym niemal wierszu odnajdując czytelnik strukturę monologu lub dialogu, niekiedy dialogowość bywa delikatnie ukryta. W tym kontekście nie dziwi sygnalizowana na początku cecha języka poetki — jego wyżytkość i kolokwialność. Potoczne wypowiedzi przekształca się tu w mowę poetycką, słowa wzniosłe sprowadza do doświadczenia. O prawach, jakie rządzi sztuką poetycką Szymborskiej, powiadamia zresztą czytelnika ona sama w słowach zamykających cały tom:

Nie miej mi za złe, mowo, że pożyczam patetycznych słów,
a potem trudu dokładam, żeby wydały się lekkie.

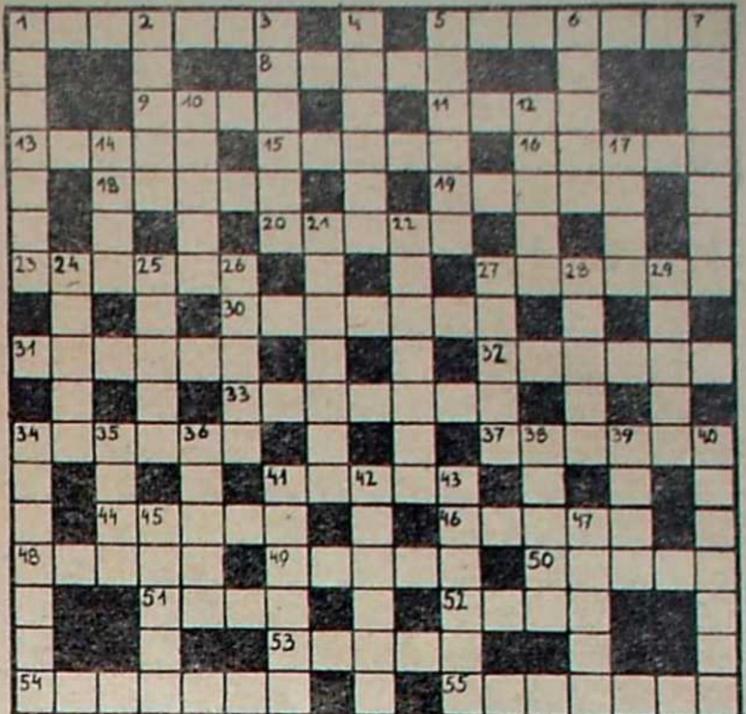
Tadeusz Klak

Wisława Szymborska: Wszelki wypadek. Warszawa 1972. Czytelnik.

Krzyżówka nr 20

POZIOMO: 1. pisarz polski, laureat Nagrody Nobla, 2. poeta okresu międzywojennego, mieszkający pewien czas w Hrubieszowie, 3. z kremenem, 4. górski dopływ Wisły, 5. świadectwo odbioru, 6. dramaturg norweski, autor „Nory”, 7. część wyrazu posiadająca powolną polską komedię filmową, 8. grupa najbardziej czynnych członków danej organizacji, 9. imię wybitnego polskiego ekonomisty zmarłego w 1963 r., 10. odtwórca roli, 11. więźniem ptaka, 12. wybitny pisarz norweski, laureat Nagrody Nobla, 13. szybka odpowiedź, 14. przed pierwszym aktem, 15. imię faraonów, 16. okręg kulturowy Żeńca w Elidzie, 17. powieść, 18. pierwszy skrzypek w syzyjskiej orkiestrze, 19. krewny pochodzący od wspólnego przodka, 20. państwo i rzeka w Afryce, 21. niedołężny starzec o przytęplonym umyśle, 22. psakowyż w Angoli i Kongu, 23. paryski ulicznik, 24. materiał wybuchowy, 25. owcza skóra z wełną (wspak), 26. tucznik, 27. burmistrz hiszpański, 28. francuski pisarz XVIII wieku, współtwórca Wielkiej Encyklopedii Francuskiej, 29. pierwszy i największy liryk grecki z Mityleny.

PIOWO: 1. współczesny pisarz polski, autor „Plotonu z Dzikiej Łąki”, 2. kwiatowy solenizant, 3. najprostszą jednostką płynącą, 4. zapach, 5. gwizdek rzymskiej straży przybożnej najwyższych urzędników, 6. powieść Gorkiego, 7. malarz naddworny Czartoryskich, 8. nowela Prusa, 9. czasopismo bolszewików założone w 1900 roku, 10. skandynawska opowieść, 11. grecki bóg wojny, 12. pisarz angielski, autor „Kima”, 13. śląski malarz-samouk, znany prymitywista, 14. utwór muzyczny o bardzo wolnym tempie, 15. muza komedii, 16. posiadłość Agamemnona, 17. bicz z krótką rękojmią, 18. drugie pod względem powierzchni jezioro w Polsce, 19. wielki deszcz, 20. pisarz francuski, autor Colas Breugnon, 21. niemiecki pisarz antyfasysta, laureat Nagrody Nobla, 22. popularny rewolwer, 23. podwyższenie do prac ładunkowych, 24. pomost morski, 25. pisarka niemiecka, autorka „Ślódwego krzyża”, 26. góra w herbie Armenii, 27. piastunka dziecka, 28. stado zwierząt hodowlanych, 29. psazki bóstw.



47. miasto na Białorusi znane z historii wojen Rzeczypospolitej z Moskwą. Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin skr. pocz. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

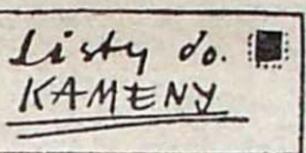
ROZWIĄZANIE SKŁADANKI Z NUMERU 18 „KAMENY”

Jan Kasprówicz: „Włajr gnje sieroce smreki

mglawica deszczem prószy
Hej góry zaklęte góry
tesknicio mojej duszy”.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 18 nagrody wylosowali:

Bohdan Biskiewicz, Wrocław, ul. Rejtana 8 m. 5, Adam Kosiński, Wierzbica — Kolonia 69 pow. Szydłowiec, woj. kielecki, Bolesław Banach, Lublin, ul. Hanki Sawickiej 18 m. 4, Zofia Marczykiewicz, Wierzbica k/Radomia, ul. Kosciuszki 12, woj. kielecki.



Zbudujmy
drugiego
Kazimierza

Z publicystyczną przekorą pisze J. Dostatni w 17 numerze „Kamenu”, że tożsamość Kazimierza wynika z wypowiedziowej obecności w tym miasteczku ludzi pira, którzy nie mogą się powstrzymać, aby i na wczasach czegoś nie napisali. Gdyby tak było, byłoby pół biedy. Sprawa przecież, o czym wszyscy wiemy od lat, jest znacznie poważniejsza i żadne chwytne publicystyczne nie są jej w stanie zepchnąć na margines dowcipów i anegdot. Stoimy przecież przed decydującym dla przyszłości Kazimierza faktem, jakim jest plan ogólny zagospodarowania przestrzennego miasta. Wypada zgodzić się z mgr Jerzym Zurawskim, dyrektorem muzeum w Kazimierzu, że jego realizacja — wbrew temu, co głoszą autorzy planu — zniszczy muzealno-zabytkowy charakter miejscowości. Artykuł dyrektora, opublikowany na łamach „Kultury”, dokumentuje to w sposób przekonujący. Ale nie wszystkich, szczególnie zaś nie tych, którzy przykładają do Kazimierza kryteria rozwoju sprawnego i zdrowego, ale nie przy rozważaniach o takim szczególnym środowisku architektoniczno-pejzażowym. Zgodźmy się raz na zawsze, że Kazimierz należy ograniczyć do jego rozwoju przestrzennemu, zachowując jego kameralny charakter, który znakomicie eksponuje świetne zabytki, stwarza klimat historycznej refleksji, daje możliwości przeżyć estetycznych. Więc co? Skansen? Prawie tak, lecz żyjący współczesnymi trzaskami, umiejętnie dopuszczamy i w jego obręb.

W toku dyskusji prasowej oberwano się spory Wojewódzkiemu Konserwatorowi Zabytków w Lublinie, a czołowe miejsce w tym ataku przysłać należy bezsprzecznie Towarzystwu Przyjaciół Kazimierza, które w liście do redakcji „Kultury” zademonstrowało ładnie karceralny styl „dyskusji”. Wszystkiemu złą winien jest, zdaniem autorów listu, właśnie konserwator. Jakże to żalosa nieporozumienie, jaka to łatwizna w wynajdywaniu przyczyn trudnej sprawy kazimierskiej! Uwierzyliśmy w dobre intencje nadeńców korespondencji, gdyby zobaczył ich, jak w ramach pracy społecznej wzięli za topoty i uporządkowali np. okolice muzeum, albo opracowali rzeczowy memoriał, prezentujący poglądy przyjaciół miasta i sposoby realizacji postulatów. Zamiast tego, tubudu w jednego człowieka, który w gruncie rzeczy jest bezradny wobec niszczenia nie tylko Kazimierza, ale i innych zabytków. Bezradny materialnie, organizacyjnie i prestiżowo, o czym przekonuje historia lokalizacji domu wypoczynkowego Zakładów Azotowych, sfinalizowana ponad władzą konserwatora i w ogóle ponad wszystkimi bodaj władzami Lubelszczyzny.

Zresztą wszyscy konserwatorzy zabytków w Polsce są w gruncie rzeczy pozabawieni mocy skutecznego działania, bo system, w którym działają, jest zlekkiem niezależnych ośrodków dyspozycyjnych, działających przy tym nieporadnie, co z kolei nie zależy wyłącznie od sprawności osób kierujących nimi, lecz od szeregu czynników leżących poza zakresem opieki nad zabytkami. W tej chwili np. w Zamocisku 60-70 proc. robotników pracujących przy renowacji Starego Miasta, zatrudnionych przez PKZ, to ludzie ze wsi, którzy klasycznym zuczajem chtëpno-robotników dorabiają sobie „na zabytkach”. Nie potrzeba dodawać, że reprezentują niski stopień fachowości, co szczególnie źle następstwa przynosi w tej tak skomplikowanej pracy. Jaką jest restauracja obiektów zabytkowych. Prawdziwych fachowców brak.

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę Towarzystwu Przyjaciół Kazimierza na... Sześćdziesiąt, albowiem stan zachowania tamtejszych domów zabytkowych jest taki, że łatwo można go wy-

korzystać przeciwko Wojewódzkiemu Konserwatorowi Zabytków. On nawet wie o tym stanie, sądząc po wypowiedziach prasowych sprzeczając kilka lat, lecz co może zrobić? No tak, może: wydać zakaz rozbioru jakiegokolwiek zabytku, kazać powiesić tablicę zakazującą dewastacji i... to wszystko! Taka jest rzeczywistość, niezależna od dobrej czy złej woli konserwatora, od jego protestów i działań.

dr Stanisław Górawski
Lublin

„Operetka”

„Operetka” Macieja Podgórskiego — artykuł w 17 numerze „Kamenu” — jest barwna, mięsta, rzućlna — jak bohater „Barona cygańskiego”. Ze zdumieniem więc stwierdzam, że mimo wszystkich zastrzeżeń w publikacji „smaczków”, jej istota, a więc mechanizm powstawania takich sytuacji, wcale mnie nie zaskoczyła! Zadałem sobie tylko pytanie: skąd mi to znane? A przecież nie pracuję w żadnym teatrze, w ogóle nie pracuję w kulturze, lecz cierpliwie przyczyniam się do zwłóczenia ilości pewnych części metalowych, potrzebnych do pojazdów mechanicznych. Już wiem: znam te sprawy z własnego doświadczenia. Kropka. Kropka, tyle że w innym opakowaniu, nie tak kolorowym, stykam się z podobnymi historiami w natywnym, jak się uorientowałem, przekonaniu, że to tylko u nas tak się dzieje. Do samochoodu, redaktorzy, i do nas, niedaleko!

J. K.

(nazwisko i adres znane redakcji)

...

„Operetka” red. M. Podgórskiego posiada III akty. Czy można się spodziewać czwartego, będącego epilogiem s z i u k e? Bo to doprawdy nieźła sztuka, nawet jak na możliwości Operetki Lubelskiej. Przy okazji pytam głośno, jak mogło dojść do takiej sytuacji w instytucji, w której, o czym pisze autor artykułu, „istnieje POP, mająca opinię jednej z najlepszych w pionie kultury lubelskiej”, co przecież powinno uświadomić się również w charakterze stosunków międzyludzkich? Jestem członkiem partii, dlatego sprawa ta szczególnie mnie wzburzyła, tym bardziej, że w mojej instytucji coś podobnego byłoby nie do pomysłenia.

Adam Rychter
Lublin

Bomby w Janowcu?

Wielokrotnie odwiedzałem zamek w Janowcu, obserwując ze smutkiem jak chyli się ku ostatecznej ruinie. Z tym większą więc radością dowiedziałem się o realnych zamierzeniach zakonserwowania zabytkowej ruiny i uporządkowania całego terenu z przystosowaniem go do potrzeb ruchu turystycznego. Niepokoi mnie jednak jedna sprawa, mianowicie zasypiana studnia na dziedzińcu zamkowym. Odtąd wiem od ludzi zamieszkujących okolice, że po zdobyciu węgier do studni wrzucono znaczne ilości materiałów wybuchowych, bomb, pocisków, min i granatów, co w późniejszych latach zostało zasypane gruzem, którego warstwa sięga ponad 20 metrów wysokości; głębokość studni wynosi podobno 60 metrów.

Obawiam się, że niewielu osób spoza Janowca wie o tym fakcie i w czasie prac porządkowych może dojść do tragedii. Nawet, gdyby ta informacja była nieścisła należy chyba ją zbadać. Sądzę jednak, że jest prawdziwa, ponieważ słyszałem ją z ust różnych osób.

Zygmunt Radomski
Puławy

Piwo ratuje?

Kiedy widzę robotników budowlanych ścigających gromadami pod kiosk z piwem przy ul. Dembowskiego na osiedlu „Kolejra” na Kalinowszczyźnie w Lublinie — śląg mnie trafia, bo dzieje się to w godzinach pracy, a tymczasem mamy podobno zbudować „drugą Polskę”. Czy na budowach nie ma rzetelnych brzydystów, majstrów, techników, ludzi odpowiedzialnych za dyscyplinę pracy? Widać nie ma.

Kiedy jednak dowiaduję się, że z budynku ukończonego tuż pod okiem Prezydium PRN w Tomaszowie Lubelskim uratowało się przed zasypaniem ceglami i belkami dwóch robotników, uratowało dzięki piwu — nie wiem już, co myśleć. Otóż jeden murarz wyciągnął drugiego na piwko i w tym samym momencie, w którym opuszczali wznoszony budynek, zawalili się stropy obiektu. Gdyby nie poszli na piwo, zanieślono by ich gdzie indziej. Wypadek ten jest żywo komentowany w Tomaszowie i stawiany za przykład rozważnego postępowania.

Aniela Lubaczko
Tomaszów Lub.

Najlepszą
formą
terminowego
otrzymywania
„Kamenu”
jest
prenumerata

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WĄSNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSLAW DEREKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGÓRSKI.

Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch”. Redakcja nie swwaca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, ul. Jana 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamal KONSTANTY KĘPA
Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-53, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje swytkie prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecenia i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LEGraf. Zam. 2212 8.IX.72, 11.040 B-4.

Kamena str. 11

Na golasa

TYM razem w Jugosławii odbył się XIII międzynarodowy kongres nudystów. Delegaci zjechali do miejscowości Vrspar z 11 krajów. W poprzednim, XII kongresie, który obradował w Orpington w Wielkiej Brytanii uczestniczyli tylko przedstawiciele 18 krajów.

Niestety, redakcja „Kamery”, do czego przyznajemy się z wielkim bólem, dowiedziała się już po niewczasie o tym wydarzeniu, toteż nikt od nas nie znalazł się w Vrspar. Zalety, bo jest to najbardziej demokratyczny kongres na świecie: nie trzeba zapożyczać się na kupno fraka czy chociażby czarnego garnituru dwu lub jednorzędowego. Nie ma tam żadnej rewii mody. Nikt się też nie powinien spóźniać na poranne obrady: wystarczy wyskoczyć z łózka, znaleźć się na moment pod prysznicem, ewentualnie ogolić,

coś włożyć na ząbek i już można dyskutować do późnych godzin wieczornych.

Na kongresie powstał jednak doniosły problem: jak rozpoznać, skąd są delegaci, skoro nie noszą ani bawarskich spodenek, szkockich spodni czy francuskich beretów? Ostentacyjnie delegaci na nagim ciele mieli przywiązane wstążeczki o barwach narodowych.

Niech Państwo jednak nie sądzią, że aby zostać nudystą wystarczy zostać w domu białym, garnitur lub sukienkę! Mam na myśli nudystę zorganizowanego. Międzynarodowa Federacja Nudystów ma, jak każda szanująca się organizacja, swój statut. Mówi on o tym, że nudysta może być tylko ten, który ukończył 18 lat. Jeśli kandydat na nudystę ma żonę, musi ona na piśmie wyrazić swą zgodę. Bez tej zgody kandydat na nudystę będzie wiecznym kandydatem. Nudysta, a także, mają legitymację. Są to jedyny na świecie legitymacje, w których widnieją dwa zdjęcia: „gole” i „ubrane”. Jak z tego wynika, są to z pewnością najbardziej doskonale dowody tożsamości.

Wbrew pozorom nudysty nie jest jednak wcale tani: jeden nudystyczny dzień kosztuje od 3 do 25 dolarów. Poza tym stała składka członkowska, którą wpłaca się na rzecz swoich towarzyszy. I, proszę Państwa, nie ma tu żadnych śmiechów-chichotów Międzynarodowej Federacji Nudystów — bo tak się ona nazywa — jest członkiem UNESCO!

W tym roku uczestnicy kongresu nie mogli gremialnie wziąć

uczestnictwa w uroczystym nabrodzeniu. Papież określił nudystów jako zgwałcenię erotycznych i wainie przyczynił się do tego, że ostatni kongres nie odbył się — jak pierwotnie planowano — we Włoszech. Karabinierzy rozpuścili włoskich nudystów z nielegalnych osobów nad rzeką Pad. Inaczej było na poprzednim kongresie przed dwoma laty... Wielebny Donald Sheriff, pastor kościoła św. Marii w Orpington, celebrował mszę. W kościele zgromadziło się ponad tysiąc nudystów. Pastor wystąpił w czarnym ubraniu, ale fakt, że w ogóle wystąpił, był już dużym sukcesem organizatorów.

Skąd o tym wszystkim wiemy? Z relacji jugosłowiańskiego tygodnika „NIS”. Pismo czytało słowa francuskiego pisarza, Cecil Saint-Laurent, który obwieszczył: „Nagą zdobywają świat”. Ponoć tylko w Europie, według danych agencyjnych, jest już ponad 15 milionów nudystów (nudysty wola się właśnie tak nazywać). Powołują się oni na przykład starożytni Grecji. A zachodnioberliński biznesman, Karol Soren, twierdzi: „Ubranie wymyślił fałszywiec i fałszywy moralista”.

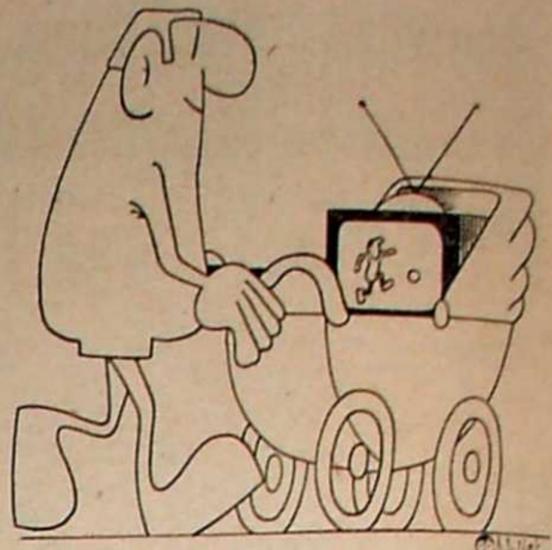
Hmm... Pewien mój znajomy mówi, że lubelski handlowcy powinni stać się honorowymi członkami Międzynarodowej Federacji Nudystów, bowiem robią wszystko, co tylko leży w ich mocy, aby obrzydzić nam ubiory, zarówno te wierzchnie jak i spodnie (spodnie, to znaczy te, które nosimy pod spodem). Kiedy człowiek odwiedzi dziesięć sklepów i nigdzie nie może dostać odpowiedniego rozmiaru kalesonów go-

tów jest się pojawiać nago w biurze tego czy tamtego dyrektora. Niestety, nasza miłość nie okazuje żadnego zrozumienia dla nudystów, stąd też zapewne przed mieszkańcami Lubelszczyzny dłużej jeszcze droga do czystej, nieskazanej cywilizacji, natury. Szkoda. Niekiedy bardzo chciałoby się zobaczyć pana profesora, pana inżyniera, pana doktora w całej okazałości. I już szczególnie chciałoby się ujrzeć w stroju Ewy pani... (miejscze pracy i nazwisko znane redakcji). Wiedziałoby się wówczas z całą pewnością, czy nadmuchała ją stanowisko czy też natura. A o niektórych panach można by zapewne powiedzieć: nie ma niczego w głowie i nie ma niczego tam. I wszyscy poczuliśmy się lepiej, spojrzeliśmy optymistycznie w przyszłość. I nie byłoby pytań w rodzaju: Kowalska kupiła sobie nowe futro, za co ona sobie je kupiła!

A ludzie stali się na pewno miłsi, nikt by się nie puszył, a przeciwnie, wciągał brzuch, aby wyglądać bardziej estetycznie i ludzko.

I jeszcze, co nie jest bez znaczenia wobec wzrostu lechów ludności: jedlibyśmy znacznie mniej, dbając o zewnętrzny wygląd. Z miejsca zlikwidowaliśmyby import zboża, a cenne dewisy przetrzymaliśmy na inwestycje wodno-kanalizacyjne. Bo brudas nie mógłby się już utajniać pod garniturem.

Aha — i luźniej stalioby się w trolejbusach. I zniknęłyby kiełszonkowie. I w ogóle, w ogóle byłoby bardzo klawo.



minuta myślenia

Perskim okiem

CZYM jest dzisiaj felieton jako rodzaj literaturki? Można podejrzewać, że „metyzuje się”, gubi, może nawet poszerza swój charakter podobnie zresztą jak powieść, która przestała być relacją z fikcyjnych wydarzeń. Nie znaczy to, że stała się tylko reportażem, ale poprzednia formuła dla wszelkich postaci „prozy artystycznej” przestała dziś wystarczać. Mamy monolog wewnętrzny, mamy konwencję scenariusza filmowego, przetrzażonego tylko do czytania, pisanego bez zamiaru ekranizacji, mamy hybrydę — narrację fabularną połączoną z charakterem refleksyjnego eseju. Tak dziś ewoluje, takie rejony odwiedza to, co się kiedyś nazywało powieścią.

A jak jest z felietonem? Miał kiedyś charakter przede wszystkim interwencyjny. Był czymś w rodzaju satyry pisanej

prozą. Dowcip, swoboda skojarzeń i sprawność stylistyczna znajdowały się na usługach konkretnej postawy, którą należało sprytnie wyłansować ośmiętnie postawy przeciwnie. Prus, Boy, Nowaczyński, Słoniński — dość przykładów ze starej generacji, a wróżki nazwisk i czasów młodszych również jest czym zaargumentować.

Dzisiaj felieton zdaje się w pełni korzystać z płynności gatunków i opuszcza zarezerwowane kiedys dla siebie kierunki aktywności. Nie ilustruje, nie proponuje, wyzbywa się funkcji usługowych na rzecz doradnych punktów widzenia, na równi z innymi gatunkami prozy mimo swoich rozmiarów zabiega o perspektywę filozoficzną. A przede wszystkim — bierze zdecydowany rozbrat z faktem, który kiedyś był zasadniczym jego motorem, sprzymierzeńcem, legitymacją.

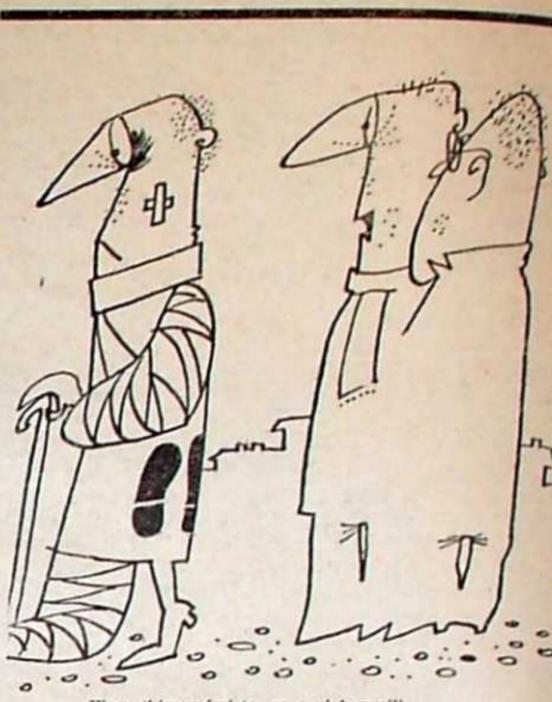
Czyż nie takie supozycje muszą przychodzić na myśl, kiedy np. czytamy jeden z pisanym nocą felietonów Mirosława Żulawskiego pt. „Teczka” („Kulisy”) — Oto jego treść:

Rodzina wyjechała na wczasy, autor został w domu, mając nadmiar wolnego czasu krzątał się wśród domowych szparaków, przekładając je i porządkując. W pewnym momencie natknął się na jakąś teczkę i poczuł, że jego pamięć została czymś zajęta. Postanowił wyjaśnić wrażeń związane z autopsją znalezione przedmiot. Pamięć spełnia swą rolę i oto jesteśmy czytelnikami opisu wydarzenia wiążącego autora z teczką. W roku 1941 pracował w ruchu oporu. Rola jego polegała na tym,

by z otrzymanych nasłuchem szzyfrow sporządzać informacje dla zainteresowanych komórek podziemia. Pierwszego dnia po wykonaniu zadania wracał z teczką zawierającą kompromitujące kartki do domu. Poczuł ostry atak bólowy. W szpitalu okazało się konieczność nagłej operacji. Poddał się jej i po odzyskaniu przytomności zauważył inwigilujących go gestapowców. Zdrętwiał, ponieważ ciężko ujrzał przy sobie. Pewnego dnia w korytarzu szpitala usłyszał gwałtowne krzyki Niemców. Okazało się, że popełnił pomyłkę: miał pilnować nie tego chorego. Tamten po uzyskaniu jakiejś takiej władzy cielesnej uciekł oknem łazienki owinięty w koc. Teczka nie dostała roli drugiego gościa corporis delicti.

Felieton jest napisany bardzo sugestywnie i — zdawałoby się — całkiem przekonująco. Zdawałoby się. Bo popatrzmy ile w przytoczonych wypadkach musi zajść zbiegów okoliczności, by relacja w całej rozciągłości odpowiadała prawdzie. Wyliczmy z dokładnością „prokuratorską”, jako że amicus Plato, sed...
1. W mieszkaniu autora taki duży sprzęt jak teczka wpaść może w ręce jedynie przypadkiem.
2. Żonaty autor sam je porządkuje i to pod nieobecność żony.
3. Sprzątanie w mieszkaniu autora odbywa się raz na trzydzieści lat.
4. Teczka, z którą łączy się tak groźne przeżycie, na tyle zobojętniała w pamięci autora, że musi sobie jej znaczenie przypominać.
5. W krytycznym dniu (a domyślać się można, że i w każdym z okresu pracy w podziemiu) autor wracając do domu

po wykonaniu zadania nie zniszczył kompromitujących papierów, lecz niósł je ze sobą — chyba dla ułatwienia sprawy nieustannie rewidującym patrolom niemieckim.
6. Przed poddaniem się operacji nie było czasu nawet na kilka słów w rodzaju: „Doktorze, na łtose boska, zróbcie coś z tą teczką!”
7. Przy przystawionej niemieckiej dokładności gestapowcy pomylili osobę pilnowaną i to w warunkach, kiedy im na „plaszku” tak zależało, że nieustannie trzymali przy nim wartę.
8. Kiedy znikł z sali właściwy wiezien, z punktu widzenia Niemców nie się nie stało, bo na inny adres mieli wycelowaną uwagę. Mimo to wtedy właśnie podnieśli krzyk.
Czy nie mogło się to wszystko wydarzyć? Niezależnie od tego, że mogło, bo rzeczywistość niekiedy serwowała jeszcze dziwniejszymi ewenementami, przyznajmy, że sporo tych zbiegów okoliczności. A więc w sprawie autentyzmu opisanego wydarzenia mamy niejako prawo do perskiego oka. Ale chyba nie w tym rzecz i nie o to chodziło samemu Żulawskiemu. Przecież nawet reportaż dzisiaj jawnie przyznaje się do korzystania z elementu fikcji. Ten sam przywilej należy się i felietonowi. Ukazał pewien fragment rzeczywistości okupacyjnej jeśli nawet nie pozbawiony pierwsiastka kracji, to jakoś typowy mimo swojej wyjątkowości. Zresztą Leibniz nie czynił różnicy między możliwością a rzeczywistością, a to przecież nie był fantasta...



— Wszystkim mówi to, co o nich myślą. Rys. L. Stałecki

Noty i notki

Ogłoszenie w „Zyciu Warszawy” (nr 211): „Do Rzymu 2, 3 osoby zabiorę Fiatem. Wjazd — październik. Oferty...” Pojechałoby, ale nie mamy: dewiz, paszportów, złotówek, a przede wszystkim nie wiemy, co będzie z powrotem...

„Literatura” zapowiada druk stałych recenzji książkowych pt. „Moje lektury”. Cieszymy się, że stała wieloletnia już rubryka „Kamery” pod tym samym tytułem tak się spodobała kolegom z warszawskiego tygodnika, że ją sobie zaanektowali.

„Polityka” (nr 810) podaje, że w warszawskiej izbie wytrzeźwień w ciągu ostatniego pięcioletnia gościło m. in.: 5135 pracowników inżynierjno-technicznych, 284 nauczycieli, 250 pracowników administracji państwowej, 284 osoby z kierowniczych służb technicznych, 199 dziennikarzy, 138 radców prawnych, 183 aktorów, 82 pracowników naukowych, 56 lekarzy, 38 głównych księgowych spółdzielni, 28 preszów i jeden sędzia. Na liście brak literatów. Znowu nie nadążają!

„Dziewczeta jeśli chcą, mogą robić to tyle razy, co chłopcy. W ciągu ostatnich dwóch lat poszłam do łóżka z dziewięcioma chłopcami. Jest to rzecz naturalna i przyjemna. Rozprasa smutny nastrój” — powiada Mimi, 18-letnia absolwentka pewnego gimnazjum w New Jersey” — tak pisze amerykański „Time”. Pokazał nam ten tygodnik pewien dobry znajomy, udający się właśnie do USA, i zalił się, że pismo nie podało adresu Mimi. Jakbyśmy nie mieli swoich Mimi!

Oczekujemy na werdykt. Oczekujemy na decyzję sędziów... Niektórzy sprawozdawcy sportowi w TV podczas transmisji telewizyjnych z Monachium nieumiejętnie znęcali się nad językiem polskim. Oczekujemy zorganizowania dla nich specjalnego kursu językowego. Albo przekwalifikowania na sportowców. Chociaż rzucąc słowem łatwiej niż młotem...

Odpowiedzi redakcji

J. A. K. Stupsk. „Choroba”, „Oczami zaszłymi drogą”, „Nikt pieśni nie słyszy” nie sprawiły wrażenia. Czyta się te utwory i właściwie nie powodują sprzeciwu, ale też i nie bardzo wiemy: jaką opisyują sytuację? pod wpływem jakiego impulsu powstały? co chcą przekazać czytelnikowi? Wydaje się, że do nowej poezji podszedł Pan bardzo powierzchownie przyswajając sobie niektóre „chwytki” i sposoby „obrazowania”. Tą drogą nie dojdzie Pan do siebie.

C. C. Kraków. Co można powiedzieć o tych wierszach? Ze są oparte na udanej kontaminacji. Broniewski plus ktoś nowoczesny. Karpowicz? Ten stan rzeczy wskazuje, że Pana własna indywidualność się jeszcze nie wykrystalizowała. Ale to chyba lepiej. Tym większa możliwość rozwoju. Warto tylko zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo naiwności. Przypuszczalnie coś wydrukujemy. W każdym razie kilka z nich zatrzymujemy w tece.

J. S. Sandomierz. Będziemy okrutni. Właśnie te wiersze spełniają klasyczny warunek grafomanii, jakże już rzadko dziś spotykanej. Przeczytaliśmy z prawdziwą satysfakcją, dziękujemy.

A. G. Bielsko-Biala. Niezależnie od liryzmu zawartego w treści opowiadania, które może wzruszyć, jest ono pomyślane bardzo nieporadnie. Całość zawiera się po prostu w wypowiedzi kobiety na dobrą sprawę nie pasującej do okoliczności, w której się scena rozgrywa. To czuje się jako „napisane”, a nie zapożyczone z życia, z rzeczywistości. Tak zdradzający pewne zdolności literackie licealista komponuje całość, by z najbardziej „wzruszającym” momentem zdążyć przed dzwoniącym zamykającym klasówkę.

J. C. Bilgoraj. Niestety, opowiadania pt. „Brylantowy kindźal” nie będziemy mogli wydrukować mimo okoliczności przytoczonej w liście. Jest to bardzo clerliwa dziełównastoletnia starzyzna absolutnie nie pozostająca w żadnym stosunku do treści i jakości formalnych korespondujących ze współczesnym odbiorcą. Nie możemy go narażać na wzruszenie ramion po przebrnięciu przez taką masę tekstu.

S. F. Błonie. Droga autorko dziecinnych rymowanek. Bardzo się cieszymy, że podobają się solenizantom. Niestety, do druku potrzeba pisać trochę inaczej. Jak? Na ten temat porozmawiamy za ładnych parę lat. Na razie życzymy dobrych stopni i to nie tylko z języka polskiego.

A. L. Dynów. Pan nie pisze od siebie, Pan zapatrył się na pewien nie zasymilowany przez siebie magazyn wyrazów poetyckich, jak na wystawę PDT-u. Co chwila coś innego blizszy na tej wystawie i wywołuje u Pana pragnienie: żeby to dostać! W ten sposób pański wiersz urasta pozami, postawami, nastrojami tak zapożyczonymi, że aż gubi się w tym pańska osobowość. Właściwie nie nie ukradzione, ale też i nie nie własne. Ale pociesmy się: to dopiero początek. Z czasem nie pogłos lektury, ale sam sobie Pan zacznie być potrzebny.

Autor „Miejsca urodzenia”. Na wspomnienia chyba z wczesnie. Poza tym — jeśli się nie było uczestnikiem, czy świadkiem wydarzeń znanych powszechnie, a więc mogących być autonomicznym przedmiotem zainteresowania, należy narrację wzbogacić refleksją o charakterze filozoficznym i humanistycznym, anegdotą, humorem itp. Nie ma tego w nadesłanym tekście, nie spełniają tych warunków stwierdzenia w rodzaju „A zdrowie jest przecież najcenniejszym i najwęższym skarbem”. Zresztą nie możemy w pełni ustosunkować się do pamiętnika, który swój sens ukazuje dopiero w większej partii tekstu. Nadesłana nie daje powodów do zainteresowania.

śnięstwa — Mariusz i Nina. One to właśnie znajdują się na koloniac letnich w Miłowie, miejscu dawnych tragedii miłosnych. Na miejscowym cmentarzu zafrapował je grób nieznanego pięknej „pani”. Cmentarz odwiedza też pewien ksiądz, z którym dzieci zaczęły rozmowę. Kim jest piękna kobieta pochowana na tym cmentarzu? Kim jest zagadkowy ksiądz?

— Proszę pana — nico głownie powiadziła Nina. Dopiero ksiądz zainteresował się, że dzieci zwracają się do niego. Smutnie uśmiechnął się i skierował kroki w stronę dzieci. Ona, widząc tak uprzejmą twarz, podbiegła do niego.
— Co wy tu robicie? — zapytał ksiądz, ponieważ zdziwiła go obecność dwójki dzieci na cmentarzu. Dzieci te były dla niego nieprzeciętną zagadką. „Chyba nie są z Miłowa” — pomyślał sobie.
— My jesteśmy tutaj na koloniac i przyszliśmy do swojej pani — odpowiedziały.
— A gdzie jest wasz tataś?
— Wzruszyły ramionami.
— A mamusia?
— Tak samo.
— Jak macie na imię?
— Nina i Mariusz.
— Teraz nagle ksiądz spościł. Gdyby rozmawiał z nim ktoś dorosły, wyuczulby, że ksiądz przeżywa jakiejś wewnętrznej męki.
— Nina i Mariusz — powtarzał kilkakrotnie ksiądz. — A gdzie ta wasza pani?
— My panu pokażemy.
— Ruszył za dziećmi we wskazonym kierunku. Nigdy nie spodziewał się, że ujrzy taką mogiłę. Wśród ziela wystawał piękny pomnik marmurowy. Między zielonymi todegami widoczne było zdjęcie ro-

ześnianej kobiety. Tuż przy pomniku wydeptana była ścieżka. Była to robota dzieci. To właśnie one chciały być najbliższymi dziećmi i wydeptały ścieżkę. Jemu tuar tej kobiety była znajoma. Nie mógł oderwać oczu od zaniedbanej mogiły.
— Co się stało ze Zbigniewem? Dlaczego mogiła tak zarosła? Do przecięt on ją kochał? — myślał ksiądz. Popatrzył na siebie. Do ziemi zsiadał sutanna. „To dla niej, tak, to dla niej. A co Zbigniew? Czyżby zapomniał? Na pewno, Nina, tylko ją kochałem cie zapomniał. Naprawdę tylko ja, inni mężczyźni są niedziwnymi motylami. Ja kochałem wszystko swoje, inni tylko potrafili kochać ciało. O naszcieście tylko kobiety! Mało która z was raziła prawdziwą miłość. Jesteście tylko oklamywane, wierzcie mi! Po co oni wszyscy kłamią!”
— Wszyscy, proszę pana? — przerwała mu Nina. Widocznie ostatnią myśl wypowiedział na głos.
— To jest właśnie nasza pani — dodała Nina. — Ile razy tutaj! przyjdziemy, ona bardziej śmieje się na zdjęciu. A dzisiaj śmieje się naprawdę.

W oczach księdza kręciły się tzy.
— Proszę pana — zapytała dziewczynka — o co tu pisze?
— Rozchylił ziała i dopiero teraz zauważył wyryty dwunastokąt: JESLI KIEDY KTOKOLWIEK UJRZY TE TWARZ MATKI — WESTCHNIJCIE ZA NIA DZIATKI.
— Nina, Mariuszu! — zawołał ksiądz. — Tu leży mama, wasza mama!
Obrócił się i obiał izami. Dzieci zrozumiały od razu, przypady do mogiły, catując mamy zdjęcie.
Ksiądz odwrócił się i odziedziczył od mogiły. Nie chciał patrzeć na nieszczęśliwych.